

W DRODZE

D W U T Y G O D N I K P O L I T Y C Z N Y I L I T E R A C K I

Nr. 14 (32)

Jerozolima, 16 lipca 1944 r.

Rok II

WŁADYSŁAW BRONIEWSKI

BANIA Z POEZJĄ

Powieść poetycka

CZĘŚĆ PIERWSZA

Na Żoliborzu, blisko Wisły, był dom z ogródkiem... Mówię: był, bo już go nie ma. W miarę sił chcę pisać kronikę, być ścisły, więc rzecz się zacznie Pierwszym Września, bo wtedy furkot samolotów o szóstej (może jeszcze wcześniej?) od Żoliborza po Mokotów zwiastował wojnę. Był to czas, gdy nie wiedzieli wielu z nas, że już się zbliża „Polski Wrzesień”, „Die neue Ordnung”, „nasza własna”, poprostu: była polska jesień i zaszło to, co miało zająć.

Chcę pisać kronikę, być ścisły, a w Jerozolimie wytrąsył gejzery słów, krynice wspomnień, rodzinny dom powrócił do mnie, obrazy, wonie, dźwięki, sny: BANIA Z POEZJĄ! — taka śliczna, że powieść będzie chaotyczna i zdaje mi się, że się śni. Wspominam Wisłę, ale Wisła nagle mi zmienia się w Barwistan, i płynę ogrodami róż, a twarze bliskich anieleją, zanim w marzeniu się rozwieją, by nie powrócić nigdy już. A potem inny obraz: dom, a przed nim dąb parusietleń. — Vogue la galère! Swoboda snom! A potem — bliżej i konkretniej — wspominam bomb kruszących świst i w dwa miesiące później list Joasi: „Wiesz? Granatów siedem padło w mój pokój, w komin jeden, więc dom się skończył. Dowiedzenia”. A ja poszedłem do więzienia i przez miesiące dziewiętnaście uczyłem się, jak A B C, by dzisiaj wiedzieć, czego chcę. Więc, czytelniku miły, — naści!

W Warszawie wieczór był przydługi: zaczynał kończyć się o drugiej, a potem „Adria” (wola boska), o piątej było się u Joska na Gnojnej. Cap! za gęsą nogę. Malarze, Zbyszek, Jaracz, Tuwim... „Szklanica wody?... Już nie mogę. Zresztą, wypijem i pomówim”. Sierpniowe noce nad Warszawą... Ach, moi mili, szkoda słów: ja wiem coś o tem i mam prawo przypomnieć, żebym tak był zdrow. Więc: księżyc jest tu nieodzowny, ten znawca wielkomiejskich scen, który zamienia wieczór w sen i chociaż milczy, jest wymowny. Jak piękne w nocy są kasztany, tłumiące lamp łukowych blask, a zwłaszcza kiedyś zakochany i gdy przez liście pierwszy brzask leciutko muśnie twarz dziewczyny. W Alejach szumią limuzyny... Zapytasz, czy zmęczona? — „Troszkę”, — i czujesz jeszcze wilgoć warg, i pachnie Ujazdowski Park, gdy wreszcie wsiadasz z nią w dorożkę. Sierpniowe noce są króciutkie, jak szczęście, no i rób co chcesz, poeta: pij z księżycem wódkę i kochaj się — powstanie wiersz.

Tego tak prędko nie wyczerpię z koszałki marzeń. Nagli temat. Do rzeczy: jest ostatni sierpień i tu się zacznie mój poemat.

Na diabła ci historia sztuki, mój Stasiu? (Oto mój bohater). Ten młodzian dość ma już nauki i chętnie rzekłby „nasmater”, ale zachęca dobry tata, no i Krystyna (włosy blond), jest zakochany, no i stąd studjuje, ale na warjata: przed rokiem robił magisterjum, nawalił — dziwny chłop z histerją, na krótko ugrzązł w psychologii, był w wojsku, na zawodach FIS, jeśli go spytać, co chce robić, powie: „Najchętniej nic a nic”. Miał predylekcję do Nietzschego, czytał Sorela, Marxa też, lecz orzekł, że to do niczego, kiedy napisał pierwszy wiersz, i odtąd pisał, ale chował, bo jeszcze nigdy nie drukował, a nie był pewny siebie; znał Apollinaire’a i Rimbaud’a i tak jak oni pisać chciał, lecz gdy napisał, mrucał: „Woda”... Choć poetyckiej bliski schizmy, najchętniej wszedłby do „Skamandra”, ale zabłądził w różne „izmy”, a stąd niepewność no i chandra. Pozatem wdzięk miał nieodparty: wiosłował, pływał, kochał narty, popijał troszkę i grał w karty. Krystynę poznał w Zakopanem i odtąd wzrokiem zakochanym powłóczył za nią, wierny paż, ale z Krystyną rzecz niełatwa, i tu się właśnie sprawa gmatwa, i tutaj nie miał szczęścia Staś. Ona go wprawdzie bardzo lubi, ale zajęta jest Andrzejem i ani ziębi ją, ni grzeje, że Stasia w taki sposób gubi. Skończyła lat dwadzieścia parę, niedługo skończy Akademię, mówią, że umie rzucać czary i że w niej jakiś djabeł drzemie. Maluje z pasją i z talentem, ze zmysłowością łączy umiar, — i tego rozgrzyć Staś nie umiał, choć jasne, że nie wierzył w święte.

Sentymalny był to wieczór: niepokój w sercach, pełno przeczuć, od wczoraj już mobilizacja, gazowe maski, ruch i gwar, — lecz miało to swoisty czar, i przeciągnęła się kolacja.

U „Wróbla” wódka zawsze zimna, a kuchnia do północy czynna. Tu często zbiera się bohema i goli czystą, zbywszy trosk. Gospodarz serce ma jak wosk, choć wie, że bractwo forszy nie ma. Wspaniałe flaczki są w bufecie, ach! takich niema w całym świecie, królestwem Judejskie dał, żebym tu takie flaczki miał, i serce kraje się poecie... A śledź w śmietanie!... Lecz do rzeczy, nikt serca śledziem nie uleczy.

Przy stole było osób osiem: malarze, muzy, literaci, nie dał się także długo prosić pewien mecenas (ten co płaci). Taki co płaci zwykle jest poezji znawcą lub malarstwa, lubi postawić się, ma gest... Ja lubię snobizm, tak, bez łgarstwa. Więc od kieliszka do butelki, potem: „Tak samo jeszcze raz”,

i w oczach zaczął płonąć „gaz” i „precz, precz od nas smutek wszelki”. Myślicie, że był wzniosły ton, coś o teorjach, o fakturze? O, nie! „Inteligencja won, bo chcę wygadać się o bzdurze”, jak mówił wlany w pestkę facet, nim zwał się pod stół. Hic iacet...

Krystyna tylko coś nieswoja, a Staś pod stołem łamie palce. W ten wieczór, pełen niepokoju, natrętnie włąza głupie walce, a czegoś brak, a czegoś lek, i razi uszy każdy dźwięk, i na coś czeka się, i jeszcze saksofon zaczął wyć w orkiestrze, i denerwuje vis-à-vis...

Krystyna nagle spojrzy w drzwi i jakże jej zabłysną oczy, i jakże ślicznie je przymruży, i jak się zerwie i poskoczy! To Andrzej przyszedł, już w mundurze.

„Ja na pięć minut. Auto czeka. Kochanie, wojna niedaleka. Przed świtem: Modlin, Raciąż, Sierpc... Więc krótko: kocham, nie zapomnę, jeśli chcesz cierpieć, no to cierp... I jeszcze prosba, bardzo skromna: żonie wytłumacz — to silniejsze niż ja, o formalności mniejsza. Czy umiesz czekać parę lat? A jeśli ciebie nie zobaczę, wiedz: na mnie się nie kończy świat, bądź silna, umiej żyć inaczej. — Cóż jeszcze?... Kelter, dwie z angielską. Ucałuj Stasia, pozdrów Bielską. Cóż jeszcze?... Psiakrew, zapomniałem... A! — różne. Widzisz: połamiałem... Bądź zdrowa... Trzymaj się... Bez żez... Bądź zdrowa i nie zapominać...” Trzaśnięcie drzwi, rozmowy kres, i rozplakała się Krystyna.

Wracali późno Żoliborzem. Noc piękna. Księżycowa Wisła. „Bez żez, Krystyno!” Lecz nie może od żez powstrzymać jej Stanisław. Więc żal rozstania, jak przez słomkę mazagran, pili jasną nocą, co chwila jakiś wóz, turkocząc, kierował myśli na rozłąkę. Wtuleni w starych topól cień, siedzą milcząco, obcy prawie. A wtedy z Pragi ku Warszawie doniosły zaczął pełznąć dzień.

„Krystyno, ja ci nie mówiłem, bo dosyć zmartwień masz na dziś, ale za chwilę muszę iść do koszar... Wczoraj się stawilem do R.K.U. i mam już przydział, więc — „sakum pak i mantelzak”, nie będzie nikt się za mnie wstydził... A zresztą — niech to trafi szlag, bo — widzisz — ja nie lubię wojny, leniwy jestem i spokojny, no, ale trzeba... Wiesz, ta noc oddala ciebie, ale zbliża: nareszcie zdjęty będę z krzyża twej obecności; czuję moc odejścia, przedtem zaś, wiesz sama, już próbowałem siebie łamać, ale nie wyszło. Andrzej — cóż? — to mocarz, ja zaś raczej pętał,

W numerze:

J. Larren-Lenczowski: White Man's Burden.—D. W. Brogham: Amerykańska polityka zagraniczna. — Z. Broneel: Sto książek polskich dla młodzieży, dla żołnierza i dla wszystkich. — S. Łukas: Zanikanie życia szczepowego. — Porucznik Herbert: Sarat wraca. — ww.: Prof. Zygmunt Łempicki. — A. Bogusławski: Epos jugosłowiański. — Polacy we Włoszech. B. Kobrzyński. Wyprowadź nas, Dante.—Echa Monte Cassino.—I. Kejlin: Nie tylko z Zachodu. — R. Fischer-Pinnerowa: Książka dla dzieci. — Czy izolacjonizm nie żyje? — S. H. Dominik: Opinie angielskie. — Kronika filmowa. J. M.: Niedokończona podróż. Korespondencja. — ww.: Przegląd polityczny.— Kronika polska.

charakter słaby, no i już... A więc bądź zdrowa... i pamiętaj...”

Krystyna... Czemuż jej do głosu dopuścić nie chce jej wierszopis? Może z powodu jasnych włosów, dla których warto się utopić we łzach, lub zgoła w zimnej wodzie?... Pięknie, że umie rzucać czary, ale, właściwie, co mi szkodzi przydać jej z wojną innej miary? Wkrótce nie będziesz mdła i miękka i śmierci spojrzysz w twarz, Krystyno, i trzymać będziesz w mocnych rękach rewolwer, albo szkło z benzyną, nim pójdziesz na tysiące dróg, gdy się rozwinie powieść krwawa, gdy w ogniu będzie stać Warszawa i świętym stanie się jej bruk.

Bataljon strzelców ze sztandarem wrześnieowym rankiem szedł na front, ulice były jeszcze szare i puste, błyszczał okien rząd, tramwaje wyjeżdżały z przecznic, stawały, wobec ruchu wojska, bataljon maszerował śpiesznie, bo to już była wojna polska. Szli z marsem w twarzach, młodzi, dzielni. Wiadomo: strzelać będą celnie, wiadomo: będą szli do śmierci, póki im kula nie przewierci młodzieńczych, lwich, gorących piersi...

Piechoto, ty królowo broni, roztrzągać masz batalji los... Wśród klęski ty zabierasz głos, kiedy o bagnet bagnet dzwoni, gdy już nie chodzi o zwycięstwo, lecz o to, żeby zimne męstwo przez krew tworzyło żywy mit, że „Jeszcze Polska nie zginęła”, że naród walczy o swój byt, a walka, gdy się raz zaczęła, to w nocy klęsk zwycięstwa świt. Piechoto... Dudni krok miarowy, bagnetów ostrza w słońcu lśnią. Na polach walk strzeleckie rowy już jutro zlejesz świeżą krwią i przyjdzie moc nieprzyjacielska, przypelzną jej stalowe cielska, żeby cię miażdżyć, łamać, kłaść, — piechoto, będziesz stać do końca i w chwale wrześnieowego słońca będziesz umiała dumnie paść...

Szli Nowym Światem i Krakowskiem o Pospolitą walczyć Rzecz, zdaleka książę Poniatowski nad szeregami wznosił miecz, potem minęli śpiż Pielgrzyma, Kolumnę, Zamek, wiadukt, most i maszerując wciąż nawprost, zniknęli z oczu, już ich niema...

Na Pradze „odtrąbiono” dali, „dowolny krok” i „wolno palić”. Już „Messerschmidty” w niebie krążą, już grzmiały pe-loty, śmigła furczą. Z powagą idzie w pierwszej czwórce Stanisław, sierżant-podchorąży. Zapalił „egipskiego”, myśli o Zamku, moście i o Wiśle, o tem, że ojciec będzie sam, że „te tam studja...”, że Krystyna... Wkrótce o wszystkim zapomina i, broń ścisając, myśli: „Tam!...”

JERZY LARREN-LENCZOWKI

WHITE MAN'S BURDEN

„White man's burden“ („brzemie białego człowieka“) — dziwny oddźwięk wywołują dzisiaj te słowa, w których dawniej można było doszukać się hasła i programu, lub też usprawiedliwienia konkwistadorskich wypraw. Dzisiaj słowa te kryją jakby ironię nie tylko dlatego, iż stały się one pośmiewiskiem postępowych pisarzy angielskich, ale i dlatego, że kolorowe ludy mogą z pewną wyższością spoglądać na Europę, ongiś źródło prawa i wiedzy, a dziś — obraz dymiących zgłiszcz i ruin.

Istotnie, Europa doby obecnej nie wystawia pochlebnej legitymacji swym autochtonom. Czy jednak w huku dwutonowych bomb i w łomocie zapór artyleryjskich skończyła się na zawsze rola białego człowieka? Biała cywilizacja, to prawda, przechodzi ciężki paroksyzm. Nie zapominajmy jednak, że znaczna część globu jest dotychczas rządzona przez białych z Europy i że wycofanie się ich z terytoriów, na których los wpływa, mogłoby pociągnąć za sobą nieobliczalne skutki, być może, doprowadzić świat do ostatecznej katastrofy.

Od Ryszarda Chancellora do Kanału Suezkiego

Gdy w r. 1553 żaglowiec „Edward Bonaventura“ podnosił w porcie Radcliff swą kotwicę, unosząc na pokładzie Ryszarda Chancellora, ruszającego w świat w poszukiwaniu tajemniczej krainy Cathay'u, nikt nie wiedział, że śmiały ten podróżnik otwiera nowy rozdział w historii Albionu, rozdział ekspansji handlowej na Wschód. Pierwotnym Chancellora nie było oryginalne: już przed nim Vasco da Gama, Kolumb i Magellan zorali oceany kilami swych okrętów. Łądy jednak i drogi morskie, jakie odkryli, stały się domeną wpływów portugalskich i hiszpańskich, stąd też były zamknięte dla Anglików. Anglicy, wobec początkowego zamknięcia dla ich wypraw mórz południowych, starali się odnaleźć najkrótszą drogę do Chin, bądź szukając przejścia na północ od ładu amerykańskiego, (t. zw. North-West Passage), bądź też badając szlak morski Oceanu Lodowatego na północ od dzisiejszej Rosji (North-East Passage). Zatrzymujemy się tu właśnie na Anglikach, dlatego iż ich ekspansja przeszła przez wszystkie stadia, doprowadzając do ugruntuowania imperium, po dziś dzień istniejącego i żywotnego.

Droga białego człowieka w kraje odległe i egzotyczne, jaką zapoczątkowali ci pionierzy, nie zawsze była prosta. Moralność tych wypraw była zygawkowata. O ile Sir Hugo Wingham, Chancellor, Jenkinson w swej wyprawie do Persji, czy Frobisher w wyprawie do Grenlandii byli po prostu żeglarzami i kupcami, o tyle Francis Drake, uszlachcony przez żądną hiszpańskiego złota królową Elżbietę, był raczej piratem. Jednak i jemu przypadł w udziale zaszczyt dotarcia do Moluków i odbicia pierwszej, dokonanej przez Anglika, podróży dokoła kuli ziemskiej. W zasadzie jednak podłoże tych wypraw było ekonomiczne. Pikantnym, a mało na ogół znanym szczegółem genezy powstania Kompanii Wschodnio-Indyjskiej jest fakt podwołania cenny pieprzu przez holenderskich kupców w Londynie, co ostatecznie doprowadziło Anglików do decyzji zdobycia sobie tego cennego „korzenia“ własnymi środkami. Kompania założona została w r. 1599, a już w dwanaście lat później Anglicy byli dobrze usadowieni w porcie Surat, na zachodnim wybrzeżu Indii, i w Masulipatam, na wybrzeżu wschodnim — Coromandel. Faktorie, założone w obu punktach, były bazami wypadowymi dla handlu z Imperium Wielkiego Mogoła i z mahometaniskim królestwem Golkondy. W r. 1616 Anglicy posiadali już stałą faktorię w stolicy Wielkiego Mogoła, Agra, zaś faktorię w Masulipatam, na północ od Madrasu, stała się początkiem stale wzrastającej penetracji angielskiej w głąb południowych księstw hinduskich, Orissy i Bengalu. Pod koniec w. XVII nie było na zachodnim czy wschodnim wybrzeżu Indii ważniejszego portu, gdzieby nie istniała faktoria angielska.

Bardzo charakterystyczną cechą tej ekspansji brytyjskiej było, iż dokonywała się ona prawie że bez przelewu krwi. Nie było mowy o jakimś zbrojnym wtargnięciu w kraje władców indyjskich. Angielscy podróżnicy byli przede wszystkim kupcami i zakładali swe placówki w Indiach na mocy zezwoleń poszczególnych władców, którzy w udzielaniu takich koncesyj upatrywali swą korzyść. Jedynie zbrojne starcia, jakie w tym początkowym, pionierskim okresie przypadły Anglikom w udziale, były z Portugalczykami, którzy rościli sobie prawo do wyłączności handlu z niektórymi obszarami Indii. W r. 1635 jednak i pod tym względem nastąpiło uspokojenie na skutek t. zw. konwencji w Goa, mocą której Portugalczycy uznali angielskie prawa, nabyte w Surat, i zgodzili się z Anglikami handlować. Pierwszy fort angielski w Indiach — fort św. Jerzego — powstał dopiero w r. 1640, i to jako własność Kompanii Wschodnio-Indyjskiej, celem ochrony faktorii w Madras. Interwencja marynarki królewskiej i brytyjskich sił zbrojnych przyszła znacznie później, gdy chodziło już o obronę kupca i jego praw, nabitych drogą dobrowolnych umów z indyjskimi książętami. Dlatego też trudno mówić o

podboju Indii w ścisłym tego słowa znaczeniu, gdyż Anglicy zjawili się tam najpierw jako wolni konkurenci Portugalczyków i Holendrów, a przywileje swe uzyskiwali nie terrorem, lecz pracowitymi zabiegami. Nie jest naszą intencją „wybielać“ tutaj Anglików. Chcemy tylko stwierdzić, iż jako pionierska gałąź rasy białej okazali oni wiele hartu ducha, wiele przedsiębiorczości, odwagi, pracowitości i sprytu. Przybywali oni do legendarnych nieraz mocarstw Wschodu jako ludzie na pozór niczym nad swymi kolorowymi bliźniemi nie górujący. Stara cywilizacja Indii, Chin czy Malajów przewyższała nieraz ówczesną cywilizację Zachodu pod wieloma względami, i to nie tylko w dziedzinie duchowej, ale i czysto materialnej. Jakość niektórych tkanin, jak np. brokaty, lub też produktów stalowych, była nieraz znacznie wyższa od tego, co w tych dziedzinach mogła wyprodukować Europa. Także żegluga i budowa okrętów nie były bynajmniej wymysłem rasy białej, i wiemy dobrze, że już admirałowie wielkiego Kubilai Chana, zdobywcy cesarstwa Sung, docierali w swych wyprawach do wysp archipelagu Malajskiego. Faktem jest, że myśl wystąpienia okrętów na poszukiwanie odległych łądów rozdziła się nie w umysłach książąt Indii czy Malajów, ale w umyśle człowieka białego, ustanawiając tym samym pierwszą jego przewagę nad kolorowymi ludami.

Przy takim rozwoju przedsiębiorczości indywidualnej, państwo, nabierając powoli form nowoczesnych, przyszło inicjatywie prywatnej z pomocą. Dalszym ciągiem tego procesu była już planowa akcja państwa, które przewyższało niepomiernie siły jednostki czy też prywatnej korporacji i którego zadania wykroczyły poza interesy jednego pokolenia. Dziś, gdy się słyszy o głośnej w Ameryce dyskusji na temat, czy państwo ma się angażować w budowę transarabskiego rurociągu naftowego, czy pozostawić sprawę interesom prywatnym, wydaje się, że to jakby nawrót do wahań z epoki merkantylizmu, jakby jakiś trudny do pojęcia spór na temat czegoś, co już dawno zostało rozstrzygnięte.

Zainteresowanie się Disraeliego budową kanału Suezkiego i wynikający stąd zakup przez Anglię większości akcji tego przedsiębiorstwa jest tylko logicznym wynikiem tego procesu, który zapoczątkowali Hawkins i Middleton swymi wyprawami do państwa Mogoła. Kanał Suezki, stanowiący dla premiera brytyjskiego przede wszystkim cenną arterię, mającą wzmocnić handel metropolii z koloniami, stał się jednak czymś więcej niż tylko drogą imperialną: stał się on także drogą światową, z której korzystać może cała ludzkość. I w tym miejscu natrafiamy na nowy element w rozważaniu o roli białego człowieka.

Nowocześni czciciele ognia

Ten element uwidocznił się najwięcej na przykładzie nafty. Badacze starożytnych religii powiedzieliby nam prawdopodobnie więcej o tym, jaki wpływ wywarły płonące gejzery w krajach nadkaspjskich na symbolikę kultu Zoroastra. Jeżeli ropa naftowa przyczyniła się do powstania religii starożytnych Ariów, to jej rola bynajmniej do tego się nie ograniczyła. Skończoność chanowie tatarscy Apsefont nie przeczuwali zapewne w mroku wieków średnich, iż tryskające z suchej ziemi płomyki wśród ich domen są zwiastunami jednej z największych rewolucji, jakie przeżył świat — rewolucji szybkości. W pogoni za „płynnym złotem“ biały człowiek znów stał się pionierem. Nobel w Rosji, Reuter i d'Arcy w Persji, Deterding i Samuel na Jawie i w Mezopotamii — stali się bohaterami jednej z największych epopei białego człowieka. Ewolucja była tu szybsza, niż przy zdobywaniu odległych łądów. Nie upłynęło bowiem ćwierć wieku, a z owoców inicjatywy paru przedsiębiorczych jednostek zaczęły już korzystać całe narody i kontynenty. Rockefeller, na którym ciążyło około 300 kondemnatek z okresu pierwszych zmagani pionierskich, stał się jednym z ojców zwycięstwa w pierwszej wojnie światowej, a dziś wśród stypendystów jego fundacji nie brak chyba żadnego koloru skóry. Emir Transjordanii jest honorowym generałem RAF'u, powietrznej armii, której istnienie opiera się na dostawie czarnego płynu z ojczytych pustyni Emira, a czarni władcy szczepów Afryki bezwiednie oddają hołd geniuszowi białego człowieka, mknąc w swych lśniących limuzynach po asfaltach Nigerii czy Czadu. Biali człowiek nie zatrzymał swych wynalazków wyłączenie dla siebie. Stało się to może bez wyraźnego udziału jego woli, częstokroć skierowanej wyłącznie na zysk osobisty. Jednakże dzisiaj, w XX wieku, trudno powiedzieć, by np. światło elektryczne było wyłącznym udziałem białych i przedmiotem ich wyrafinowanej eksploatacji. Oczywiście, dotychczas jeszcze biały człowiek w większej mierze korzysta z owoców swej pracy i myśli, niż inne ludy, jednak demokratyzacja używalności nowoczesnych urządzeń technicznych postępuje w tempie zawrotnym. Już obecnie np. motoryzacja Egiptu lub prowincji Bombaju jest większa stosunkowo, niż była przed r. 1939 w Polsce, kraju europejskim, żeby wymienić choćby jeden przykład.

For the benefit of the natives

André Maurois podaje w swej książce

„General Bramle“ pewien zabawny epizod, który rzuca bardzo charakterystyczne światło na postawę Anglików wobec innych ludów. Rzecz dzieje się w starym parku, należącym do arystokratki francuskiej, w czasie ubiegłej wojny. W parku, wokół pałacu rozgościło się wojsko angielskie wraz z taborem i końmi, wprowadzając tam własne, wojskowe porządki. A więc usunięto niektóre niewygodne drzewa, piękne trawniki oddano pod magazyny i t. p. Zmartwiona tym właścicielka majątku zwraca się do francuskiego oficera łącznikowego, by wymógł u Anglików bardziej pieczołowite obchodzenie się z jej parkiem. Francuz, spełniając jej prośbę, udaje się do angielskiego pułkownika, który, zamiast obiecać mu ostrożność w dalszym biwakowaniu wojska w parku, czyni mu dłuższy wykład o tym, jak jego zdaniem powinien być utrzymany park, jakie wybitne nieporządki zastał on w parku francuskim i jak doniosłą rolę cywilizacyjną spełnia jego wojsko, biwakując w tym miejscu, opuszczonym i zaniedbanym. Gdy Francuz próbuje skromnie protestować, pułkownik przerywa mu, stwierdzając, iż przybywszy na miejsce, zastał rzecz potępienia godną: zepsuty i opuszczony zbiornik wody w pałacu, siedlisko bakterii i chorób. Widząc to, dał on natychmiast rozkaz naprawienia zbiornika, udostępniając tym samym dobrą wodę nie tylko własnemu wojsku, lecz także i właścicielce i mieszkańcom pałacu. Ta jednak, zamiast być mu wdzięczna, niepotrzebnie narzeka. Nie odwróci to jednak Anglików od dalszych podobnych kroków w tym kierunku, „gdyż nie cofną się oni nigdy przed żadną pracą, jakkolwiek uciążliwą, dla dobra tubylców“ („for the benefit of the natives“).

Całe to opowiadanie jest bez wątpienia próbą złośliwej satyry na Anglików. Trzeba bowiem zdawać sobie sprawę z tego, iż termin „native“ jest z zasady nadawany przez Anglików kolorowym ludom kolonialnym i włożenie go w usta pułkownika, mówiącego o Francuzach, ma podkreślić paradoksalność sytuacji i uwydatnić pewien głęboki rys duszy angielskiej. Analizując jednak słowa pułkownika, nie możemy odmówić mu dobrej woli i szczerości. To właśnie ludzie jego typu stworzyli owo pojęcie „white man's burden“ w odniesieniu do ludów kolorowych. Impetyczny pułkownik zagalopował się, starając się rozciągnąć to pojęcie na inny biały naród, z którego bogatej kultury czerpali sami Anglicy, jednak w jego rzetelnej trosce o warunki sanitarne i porządek w obcej posiadłości trudno jest dopatrywać się jakichś akcentów imperialistycznej eksploatacji.

Dochodzimy tutaj zatem do sedna rzeczy: do moralnej strony panowania białego człowieka. Sprawa nie jest prosta.

Pax Britannica

Choć hasła suwerenności małych i wielkich państw są nadal żywe, świat odszedł już daleko od bezwzględnej zasady samostanowienia narodów. Jesteśmy dzisiaj świadkami dwóch sprzecznych ze sobą teorii, które nieraz są głoszone przez jednych i tych samych ludzi. Jedna z nich głosi, że jest rzeczą wewnętrzną poszczególnych narodów obracać sobie system rządów, który będzie im najwięcej odpowiadał. Zwolennicy współpracy z komunistyczną Rosją w krajach anglosaskich twierdzą, iż sprawa wewnętrznego ustroju sowieckiego nie stoi na przeszkodzie pełnej współpracy z tym krajem na polu ekonomicznym, politycznym i innych, gdyż taki czy inny ustrój jest własnym, wewnętrznym problemem danego państwa. Ci sami jednak ludzie gotowi są powiedzieć, iż nie dopuszczają do odrodzenia się faszyzmu w jakimkolwiek kraju europejskim po wojnie, gdyż faszyzm grozi bezpieczeństwu pokojowego współżycia narodów. Mówiąc to, głoszą oni drugą teorię, krańcowo przeciwną pierwszej, nakazującą interwencję wszędzie tam, gdzie pojawiają się zjawiska groźne dla cywilizacji, niezależnie od granic i suwerenności państwowych. Jeżeli weźmiemy za podstawę moralną pokój i dobrobyt całego świata, a nie jednego tylko narodu w jego ciasnych granicach państwowych, to będziemy musieli przyznać rację tej drugiej teorii. Trzeba jednak z takiego stanowiska wyciągnąć odpowiednie wnioski: skoro światu nie jest obojętne, czy w państwie X panuje ustrój faszystowski, czy nie, to światu nie jest także obojętne, czy w państwie Y prowadzi się handel niewolnikami lub czy klika handlarzy narkotyków obniża ogólny stan zdrowotny ludności, wpływając na degenerację pokoleń.

Otóż, patrząc na rolę, jaką biały człowiek odegrał w afrykańskiej puszczy czy na wyspach Polinezji, trzeba przyznać, iż ma on za sobą nie tylko debiet w postaci wprowadzenia tytoniu, alkoholu i różnych chorób, lecz posiada także zasługę walki z chorobą, okrucieństwem, ciemnotą i przesądami. Fakt, że objął on na tych terenach rolę kierowniczą, nie jest jego winą. Skoro górował nad otoczeniem swą energią i zdolnościami organizacyjnymi, rola ta musiała mu przyspaść w udziale z natury rzeczy.

Ostatecznie, w gromadzie ludzkiej jednostki bardziej przedsiębiorcze i inteligentne zawsze się wybijają. Z narodami dzieje się podobnie i nie ma uzasadnionym przyczynić, by taki stan rzeczy uważać za karygodny. Z zarzutem jednostronnej eksploatacji bogactw

naturalnych przez białego człowieka należy być także ostrożnym: po pierwsze, człowiek biały potrafił te bogactwa, dotychczas leżące odłogiem, wyzyskać na użytek własny, a jak się potem okazało, i całej ludzkości; po drugie, dlaczego człowiek biały, na którego terenach tych bogactw nie ma, miałby być wykluczony od ich używania tylko dlatego, iż znalazły się one przypadkiem w strefie np. zamieszkałej przez „Bogu ducha winny“ szczep ludożerców? Problem w tym świetle staje się analogiczny do ciężkiego opodatkowania wielkich spadków przez państwo, które ze swej strony zapewnia stypendia naukowe ubogim a zdolnym członkom społeczności.

Sprawa moralnego tytułu białego człowieka do roli kierowniczej na świecie nie może być jednak rozwiązana przez czysto dialektyczną argumentację. Biały człowiek bowiem, wpływając na bieg życia ludów kolorowych, ma przed sobą nieograniczone możliwości, które może wyzyskać na pożytek swój i narodów przez siebie rządzonych lub też na ich zgubę.

Imperium Brytyjskie, którego początki, powstałe w drodze ekspansji handlowej, naszkicowaliśmy wyżej, stanowi problem, według którego możemy w znacznej mierze osądzić, czy ludzkość ma się rumienić, czy też może być dumna z osiągnięć białego człowieka. Są bowiem różne imperializmy: niszczyielskie i konstruktywne. Anglicy z zasady nie niszczyli tego, co zastali w krajach przez siebie opanowanych: ustrój państwowy, religia, tradycje i obyczaje pozostawały nietknięte. Zwalczali natomiast zabobon, okrucieństwo, sadyzm. Pouczające są pod tym względem pamiętniki pierwszych administratorów brytyjskich takich terytoriów, jak Nowa Gwinea lub Nigeria. Nie potępianie za chęć zdobycia bogactw naturalnych, ale podziw dla bohaterstwa tych pionierów cywilizacji ogarnia człowieka, gdy wgłębia się w te wspomnienia. Jak łatwo dziś jeszcze, podróżując np. po Środkowym Wschodzie, rozpoznać od razu terytorium, pozostające pod brytyjską kontrolą: dobre drogi, szpitale, sprawnie działająca poczta i telefon, banki i organy bezpieczeństwa stanowiący wymowny dowód pozytywnej pracy, włożonej w rozwój cywilizacyjny danego obszaru. A jak przykro kontrastują z nimi czasem te tereny, których angielska kontrola nie dosięgła! W ślad za tymi osiągnięciami materialnymi idzie penetracja kulturalna. Za angielskim dyrektorem banku kroczy przedstawiciel British Council, organizacji, która bez nacisku i przymusu szerzy kulturę angielską. Sudańczyk czy Hindus może uznać, iż kultura ta ma cechy atrakcyjne i ma możliwość ją pogłębić. Gdy jednak uzna, iż sprawy te są mu obce, nie spotka się z żadną przeszkodą, studiując lub propagując osiągnięcia kulturalne własnego narodu.

Rozwój techniczny i kulturalny, stabilizacja ekonomiczna, bezpieczeństwo wewnętrzne i zewnętrzne — oto co wnosi ze sobą Pax Britannica. Pokojowi temu przyswieca zasada wspólnego interesu kierujących i kierowanych, a nie zasada jednostronnej eksploatacji. Toteż w obliczu wielkiej próby dziejowej, jaką Imperium Brytyjskie dzisiaj przechodzi, złożyło ono w pełni egzamin. Nie bez dumy mógł powiedzieć niedawno Winston Churchill, iż nie ma on zamiaru prezydować nad likwidacją Imperium, lecz że, przeciwnie, Imperium i Commonwealth nigdy nie były bardziej zjednoczone i spójne, jak w okresie obecnego kryzysu światowego.

Ani świat, ani Imperium nie są jednak statyczne. Rozwój i bieg czasu dyktują nowe wymagania, i to, co dziś jest uważane za wystarczające w stosunku białego człowieka do kolorowego, może jutro być uznane za niedostateczne. Historia terytoriów mandatowych daje wymowny przykład tego, jak winna być ujęta rola białego człowieka. Z obszarów zafalowanych technicznie i kulturalnie, niezdolnych do rządzenia się, powstają stopniowo organizmy państwowe, przejmujące coraz więcej obowiązków wobec narodów, je zamieszkujących. Biały człowiek usunął się tam, gdzie mógł być zastąpiony, pozostał zaś tam, gdzie jeszcze jest niezbędny. Ta cecha niezbędności będzie się jednak prawdopodobnie stopniowo zmniejszać. Biały człowiek będzie musiał to zrozumieć, a stąd i charakter jego obowiązku wobec ludów kolorowych ulegnie metamorfozie. I stanie się, iż być może „nie bez przyczyny — jak mówi George Glasgow *) — został biały człowiek odcięty nagle od wielu światowych źródeł gumy, ropy i cyny... Być może, że nie będzie on już więcej mógł używać tych surowców do swej wyłącznej dyspozycji; że żółci krajowcy, na których terytorium — dane im według dawnego i w ostateczności niezawodnego Bożego wyroku — te surowce się znajdują, będą musieli być pytani o zdanie na bardziej sprawiedliwych warunkach, zanim nastąpi ucieczki i słuszny rozdział tych bogactw światowych. Brzemie białego człowieka, ten wyswiechtany eufemizm, który w przeszłości zbyt często stanowił zasłonę dla eksploatacji słabszych przez białego człowieka, stanie się brzemieniem w bardziej dośkonym sensie, gdy zda on sobie sprawę, że w zamian za cynę Sjamu, ropę Burmy i kauczuk Malajów, będzie on musiał oddać takie usługi Sjamczykom, Burmańczykom czy Malajczykom, które pójda znacznie dalej niż poprzednio w zaspokoieniu ich własnego sądu o tym, co jest słuszne“.

*) The Contemporary Review, kwiecień 1944.

D. W. BROGHAM

AMERYKAŃSKA POLITYKA ZAGRANICZNA¹⁾

Stany Zjednoczone a świat

Nie jest jakimś przypadkiem językowym, że przez słowo „frontier“ — „pogranicze“ Amerykanie rozumieją nie obszar graniczny wokół państw sąsiednich, lecz pewien obszar wewnętrzny, stale się zmieniający, tereny wyrwane już przez poprzednie pokolenia Indianom, stepom i puszczy pod uprawę, a ogólniej — cały proces osadnictwa i cywilizowania olbrzymich, niezamieszkałych obszarów kontynentu Ameryki Północnej. Nie jest również rzeczą nieważną, że z dwóch wojen, które wycisnęły piętno na pamięci narodo-wej Amerykanów, pierwszą, którą Brytyjczycy nazwali „wojną o niepodległość“, Amerykanie nazwali „wojną rewolucyjną“, podczas gdy drugą cały świat zna jako „amerykańską wojnę domową“, z wyjątkiem Stanów Południowych, które nazywają ją „wojną między stanami“. Inne wojny przyniosły sławę wojenną, takie czy inne rezultaty polityczne, ale żadna wojna, toczona na obecnym obszarze Stanów, nie zostawiła trwałego śladu na życiu amerykańskim i nie weszła naprawdę do tradycji narodowej. Tak jest z wojną z Meksykiem i Hiszpanią, a nawet z amerykańskim udziałem w wojnie światowej 1914—1918 r. W amerykańskiej postawie wobec tych konfliktów było coś z widza, coś z czowieka, który żałuje młodziennego szaleństwa. Wielu Amerykanów posiada zdolność odczucia czegoś, co odpowiada powiedzeniu Roberta Brooke'a: „kawałkowi obcego pola, który na zawsze będzie Anglią“, i głównym wysiłkiem amerykańskiej pobożności po ostatniej wojnie było nie zakładanie wielkich cmentarzy wojennych we Francji, lecz sprowadzanie poległych z Francji do Ameryki.

Przez długi okres swej historii Stany Zjednoczone mogły bezpiecznie ignorować politykę siły w rejonach mniej szcześliwych. Same nie mają żadnych bliskich sąsiadów, zdolnych choćby w najmniejszym stopniu do tej polityki. Aż do ostatnich czasów Stany Zjednoczone nie potrzebowały obawiać się żadnego nie morskiego mocarstwa i żadne państwo europejskie, bez względu na jego charakter i ambicje, nie mogło zaryzykować tak olbrzymiego rodmuchania ambicji, aby sięgnąć przez Atlantyk czy Pacyfik do Ameryki, ponieważ żadne mocarstwo nie czuło się tak bezpieczne u siebie w domu, żeby móc bezkarnie odwrócić się od Europy lub Azji i objąć swymi wpływami jakąś część Nowego Świata. Nie wiedząc o tym, Stany Zjednoczone korzystały z zasady równowagi sił, która rozbiła Europę i sprawiała, że Stany Zjednoczone były potencjalnie najsilniejszym państwem w świecie — oraz dawała im czas, aby w razie potrzeby możliwości te przekształcić w rzeczywistość.

Było więc rzeczą naturalną, że amerykańscy mężowie stanu, a jeszcze bardziej amerykańska opinia publiczna, uważała politykę zagraniczną za pewien luksus. Historia amerykańskiej dyplomacji, z wyjątkiem krótkiego okresu Wojny Domowej, nie składa się z przemyślanych manewrów, traktatów i przymierzy, lecz z pretensji o odszkodowania dla poszkodowanych obywateli amerykańskich w Rosji, Chinach, Irlandii, z dyskusji nad importem świni na rynki niemieckie, japońskie czy kalifornijskie. Amerykański minister czy dyplomata zwykle „pietruszkował“. Przypatrywał się tancerzom dyplomatycznym, lecz sam nie brał w nich udziału.

Złożony charakter ludności amerykańskiej przyczynił się do tego, iż postawa taka stała się częścią amerykańskiej tradycji politycznej. Między różnymi grupami amerykańskimi a europejskimi istniało za wiele więzów emocjonalnych, aby dla Stanów Zjednoczonych mogło być rzeczą roztropną odnawianie starych kłótni europejskich na gruncie amerykańskim. Dla wielu szlachetnych i rozsądnych Amerykanów najgorszym rezultatem amerykańskiej interwencji w ostatniej wojnie była gorzka z niej powstała między Amerykanami pochodzenia niemieckiego, a innymi Amerykanami. Dla przeciętnego Amerykanina czynna i ciągła polityka zagraniczna ma te same odpychające właściwości, jakie posiada dla człowieka normalnie zdrowego ścisła i długa dieta.

Stany Zjednoczone jako misjonarz wolności

Istnieją jednak wobec problemów polityki zagranicznej pewne stałe cechy amerykańskiej polityki i sympatii opinii. W umysłach Amerykanów głęboko jest wryte przekonanie, że „sprawiedliwość wywyższa naród“, a jeśli zarzuca się Amerykanom, że skłonni są do czynienia zarzutów najpierw innym, a potem dopiero sobie, to wystarczy powiedzieć, że i oni są ludźmi. Od początku historii Stanów Zjednoczonych istniała w nich zawsze ciągle czujna mniejszość, stojąca się od czasu do czasu większością, która krytykowała, przeciwstawiała się i zmieniała politykę państwa. Polityka, prowadzona jedynie dla własnego interesu i wyłącznie z rozsądku, nigdy nie uzyskiwała dłuższego poparcia. Czy to gdy ofiarą rzekomego amerykańskiego ucisku byli sto lat temu Indianie, czy obywatele Nicaragui w ostatnim dwudziestolecu, zawsze budziły sumienie Ameryki i mężczyźni i kobiety, niezłomnie wierzący, że Stany Zjednoczone mają większy obowiązek wobec świata niż zmierzanie do osiągnięcia maximum korzyści, na jakie im pozwalają położenie geograficzne i siła.

Ten pogląd o Stanach Zjednoczonych, jako o depozytorze, w pewnym sensie, nadziei ludzkości, siły, walczącej o postęp i oświecenie, datuje się częściowo od czasów purytańskich założycieli Nowej Anglii, lecz głównie pochodzi on od twórców republiki. Oni, a właściwie ich demokratyczni członkowie, byli przekonani, że Ameryka, ma wielką rolę do odegrania, jako wzorowy nauczyciel. Stare, uporne czasy tyranii i ciemnoty już zniknęły w Stanach Zjednoczonych na zawsze i wizja Ameryki jako ojczyzny wolności, wolności, rozszerzającej się na cały świat, cieszyła serca ludzi nie tylko w Ameryce, lecz również i w Europie.

Podstawą najslawniejszej mowy Lincolna jest właśnie wiara, że Ameryka jest wielkim praktycznym wzorem wolności i demokracji. Jeśli Unia upadnie, brzmiało jedno z jego krótkich oświadczeń w Gettysburgu, to możliwość przetrwania narodu „poczętego w wolności i oddanego hasłu, że wszy-

scy ludzie rodzą się równi“ zostanie unicestwiona. Albowiem demokracja, wiara w równość jest amerykańską religią polityczną. Kto na kontynencie europejskim lub w Wielkiej Brytanii pomniejsza te sprawy, mówiąc jedynie o „idiosynkrazji“ w postępowaniu politycznym, ten odcina się od żywych źródeł życia amerykańskiego. Życie to bowiem oparte jest na wierze Jeffersona, że dzień już nadszedł, gdy stało się w Ameryce widocznym, że „masy ludzkie nie rodzą się z siódmymi na grzbietach, a nieliczni prawowici, z łaski Bożej wybrańcy, nie jadą na nich już dłużej, bodąc je ostrogami. Takie są podstawy nadziei dla innych“.

Bez „aliansów wikłających“²⁾

Ten pogląd o Stanach Zjednoczonych, jako o misjonarzu wolności, wydaje się być na pierwszy rzut oka sprzeczny z inną, równie silną tradycją amerykańską, a mianowicie z doktryną, głoszoną przez Washingtona, w jego mowie pożegnalnej. „Główną zasadą naszej polityki jest, w odniesieniu do narodów obcych, rozszerzanie stosunków handlowych, przy utrzymywaniu stosunków politycznych możliwie jak najluźniejszych“. Okoliczności owych czasów w zupełności tłumaczyły stanowisko Washingtona. Miał on na celu ostrzeżenie swych współobywateli przeciw niebezpieczeństwu gwałtownego popierania stron, zaciekle walczących między sobą o hasła Rewolucji Francuskiej. Ostrzeżenie Washingtona było skierowane również przeciw temu niebezpieczeństwu czynnej polityki zagranicznej, które dziś moglibyśmy nazwać „piątą kolumną“. Było to niewątpliwie czynnym mieszanym się w sprawy odległego kontynentu europejskiego, posiadającego „kompleksy żywotnych zainteresowań jakie dla nas



FRANKLIN DELANO ROOSEVELT

nie mają żadnego znaczenia, albo też jakieś bardzo dalekie“. Stany Zjednoczone nie są dość silne, albo nie dość zjednoczone, ażeby odegrać pewną rolę w polityce europejskiej, — to było zdaniem wszystkich Ojców Założycieli. W miarę, jak czas upływał, Stany Zjednoczone nabierały siły, lecz ciągle jeszcze w tej dziedzinie nie były bardziej „zjednoczone“. A Europa, krwawiąca od wojen dynastycznych i narodowych, nie nadawała się na scenę, na której Stany Zjednoczone mogłyby się poruszać swobodnie. Amerykańską opinię irytowały niekończące się krwawe spory i obywatela Stanów dziękowali losowi, że ich oddzielił od niepoprawnego kontynentu trzema tysiącami mil i zdrowymi instytucjami politycznymi.

Amerykańskie sympatie dla demokracji

Jednak ta polityczna przerwa nie była sprzeczna z sympatią, okazywaną dla ruchów demokratycznych. Grecy, Węgrzy, Włosi, Polacy, Irlandczycy, Ormianie, Chińczycy, wszyscy ci, których amerykański sposób myślenia uważał za ludzi, walczących o sprawę słuszną, uzyskali sympatię i pomoc, jeśli nie od Stanów Zjednoczonych, to od Amerykanów. Nie tylko zdanie sobie sprawy z głębi przepaści, dzielącej cesarskie Niemcy od Stanów Zjednoczonych, lecz również i upadek caratu, dla większości Amerykanów symbolu dynastycznej tyranii i korupcji, umożliwiły Wilsonowi spowodowanie przystąpienia Ameryki do wojny w r. 1917.

Momenty uczuciowe pozwoliły amerykańskiej opinii publicznej i amerykańskiej polityce przerzucić się od przekonania o swej dalekiej odległości geograficznej i ignoracji, do pełnej namiętności sympatii z tymi, którzy mówili, lub zdawali się mówić tym samym co oni językiem. Jeśli wahać się przechylało się czasem na stronę polityki izolacjonistycznej, którą, według popularnego przekonania, usławił bolesnemu rozczarowaniu, jakiego Amerykanie doznali, przekonawszy się, że wspólnota ideałów to jeszcze za mało, i że oprócz niej potrzebna jest jeszcze wspólnota interesów i stałego wysiłku. Bowiem jak Chesterton powiedział po ostatniej wojnie: „świat nie będzie nigdy bezpieczny dla demokracji; demokracja to niebezpieczny interes“. Wieczna czujność jest ceną wolności, a podobnie jak i inne narody, tak i Amerykanów kusi spoczywanie na laurach i uważanie za stałe każdego odniesionego zwycięstwa, podczas gdy każde pokolenie musi to zwycięstwo, zwycięstwo wolności i prawa, zdobywać na nowo. Gdy stało się jasnym, że walka musi być znów podjęta, naród amerykański przypominał sobie swoją Magna Carta — Deklarację Niepodległości, która zapewnia wszystkim

ludziom, nie tylko Amerykanom, prawo do „życia, wolności, i dążenia do osiągnięcia szczęścia“.

Maszynaria amerykańskiej polityki zagranicznej

Amerykańska konstytucja nakłada specjalne hamulce dyplomacji. Zgodnie ze słowami konstytucji, prezydent posiada „władzę za radą i zgodą Senatu zawierania traktatów, z zastrzeżeniem, że dwie trzecie senatorów wyrażą zgodę“. Twórcy konstytucji z r. 1787 sądzili, że Senat będzie działał jako rodzaj Rady Tajnej (Privy Council), że będzie proponował prezydentowi zarówno zawieranie traktatów, jak i że będzie udzielał mu rad w trakcie prowadzenia rokowań. Chociaż jedno i drugie zdarzało się czasem, to jednak normalnie kontrola Senatu nad polityką zagraniczną odbywa się dopiero wtedy, gdy prezydent traktat już zawarł i żąda od Senatu ratyfikacji. Tak więc podział władzy między czynnikami wykonawczym — prezydentem (którego Senat nie może się pozbyć) a organem ustawodawczym — Kongresem (którego prezydent nie może rozwiązać) przenosił się również w dziedzinę spraw zagranicznych. Konstytucja, zabraniająca członkom rządu zasiadania w Kongresie, musiała znaleźć inne środki współpracy. Dlatego też sekretarz stanu, „The Secretary of State“, musi stale naradzać się z komisją senacką dla spraw zagranicznych, a specjalnie z jej przewodniczącym.

Tego zastrzeżenia konstytucji amerykańskiej można równie dobrze bronić i dziś dla tych samych racji, które sprawiły, że zostało ono przyjęte w r. 1787. Gdyby prezydent posiadał nieograniczone prawo zawierania traktatów, w rzeczywistości znaczyłoby to tyle, co przekazanie mu znacznej części władzy ustawodawczej, ponieważ traktaty, jak i normalne statuty federalne, są częścią „zasadniczych praw kraju“. Było oczywistym, że przyznanie prezydentowi takiego prawa stało w kolizji z zasadą podziału władz według konstytucji federalnej, i początkowo proponowano zupełne wykluczenie prezydenta z legislatury dyplomatycznej. Ponieważ jednak w rzeczywistości dyplomacja musi posiadać charakter wykonawczy, więc i ten plan uznano za nierealny i połączenie władzy Senatu i prezydenta przy zawieraniu traktatów stało się koniecznością³⁾.

Trudniej jest usprawiedliwić specjalne żądanie większości dwóch trzecich obecnych senatorów dla ratyfikowania traktatów. Ponieważ każdy stan posiada tę samą liczbę reprezentantów, bez względu na wielkość obszaru i liczbę mieszkańców, więc jedna trzecia, głosząca przeciw ratyfikacji, może reprezentować o wiele mniej niż jedną trzecią część ludności amerykańskiej. Cakłkiem nieznaczna mniejszość może więc przeszkodzić w prowadzeniu takiej polityki zagranicznej, jakiej życzy sobie olbrzymia większość. Jednak zasadę dwóch trzecich można usprawiedliwić. Jest ona skutkiem tego faktu, że Stany Zjednoczone, mając wielki obszar, są bardzo zróżnicowane, tak że polityka zagraniczna, nie posiadająca bardzo szerokiego poparcia, rozłożonego równo po całej Unii, jest niebezpieczna. Jednak te postanowienia konstytucji amerykańskiej utrudniają bardzo amerykańską działalność dyplomatyczną. Prezydent w trakcie rokowań traktatowych musi pamiętać o prawdopodobnej reakcji Senatu, może nawet radzić się członków senatorów, może użyć ich jako negocjatorów, nigdy jednak nie może być pewien, czy większa część starannie ułożonego traktatu nie zostanie w Senacie tak zmieniona, że stanie się dla niego bezużyteczny.

Poza tym państwo obce, zawierające traktat, może odmówić ratyfikacji traktatu po wprowadzeniu doń zmian Senatu, lub też Senat może w ogóle traktat odrzucić. Ponieważ poprawki można uchylać zwykłą większością głosów, więc jest rzeczą możliwą uchwalenie szeregu poprawek, tak zmieniających pierwotne brzmienie traktatu, że stanie się on w końcu niekonsekwentny albo też tak nieskuteczny, że w rezultacie nie znajdzie się owej koniecznej większości dwóch trzecich.

Poza tym, jak we wszystkich sprawach Kongresu, ważną rolę odgrywa odnośna Komisja. Najpierw w Komisji dla Spraw Zagranicznych traktat zostaje przedyskutowany lub odrzucony. Komisja może się składać z senatorów z partii, będącej w opozycji do prezydenta, lub też z senatorów z jego własnej partii. Na członkach Komisji nie ciąży żadne brzemie odpowiedzialności, która jest motorem pracy prezydenta. Łatwo stąd nie chce nic zrobić. Z drugiej strony większość członków wchodzi do Komisji dla swych zainteresowań sprawami polityki zagranicznej; członkostwo ma wartość prestiżową, lecz nie posiada żadnego bezpośredniego znaczenia w polityce wewnętrznej. Normalnie, znaczenia w Komisji nabywa się dzięki długiemu doświadczeniu, które powoduje, że kierującymi członkami Komisji bywają senatorzy o dużym stażu dyplomatycznym. Z drugiej strony, zwykłe starszeństwo wieku może postawić na czele Komisji senatora, niezdolnego do spełnienia tego obowiązku, lub po prostu zacieklego wroga prezydenta.

Kończąc, należy dodać, że konstytucyjna kontrola spraw zagranicznych przez Senat zachęca do debat na wszelkie tematy polityki zagranicznej. Petycje, delegacje, wyniki głosowań opinii publicznej, nawet krzyki z galerii i pikietowanie senatorów, których poglądy nie odpowiadają jakiejś partii czy grupie, są gwarancją, że senatorowie nie zapomną o tym, że są przedstawicielami narodu, a nie nieodpowiedzialnymi ustawodawcami. Nawała apelow i kontrapelów może zastraszyć niejednego senatora, a zamiary wielu zniweczyć i często doprowadza do tego, że sprawy zagraniczne dyskutowane są w atmosferze podniecenia, które czasem przeważa te korzyści, jakie daje jawna dyskusja.

¹⁾ Mianowanie ambasadora, ministra i t. d. również wymaga zgody Senatu, lecz ta prerogatywa rzadko jest używana dla celów kontroli polityki.

²⁾ Amerykańskie ministerstwo spraw zagranicznych nazywa się Departamentem Stanu — Department of State. Chociaż zadania ministerstwa i obowiązki noszą wyraźny charakter dyplomatyczny, spełniają one również kilka formalnych funkcji wewnętrznych.

Gdy umowy traktatowe pociągają za sobą wydatki pieniężne, to oprócz ratyfikacji przez senatorów wymagane jest również uchwalenie ustawy przez większość każdej Izby. W takich wypadkach jest bardzo trudne powstrzymanie dyskusji nad daną umową traktatową w Izbie Niższej, bez której współudziału ta umowa pozostalaby jedynie na papierze.

³⁾ Fragment broszury z serii „Oxford Pamphlets“, która w autoryzowanym polskim przekładzie ukaże się w najbliższym czasie nakładem Wydawnictwa „W Drodze“.

²⁾ Panuje ogólne przekonanie, że Washington ostrzegł swych współobywateli przeciw „aliansom wikłającym“ — „entangling alliances“. Otóż termin ten pochodzi od Jeffersona.

ZDZISŁAW BRONCEL

STO KSIĄŻEK POLSKICH dla młodzieży, dla żołnierza i dla wszystkich

Przy wstępnej rewizji odbierano nie tylko pieniądze, zegarki i kosztowności, ale także książki i papier we wszelkiej postaci. Pisano więc później na papierosowych bibułkach lub na czystych denkach papierosowych pudełek. Przyszła wojna, zabrakło pudełek, pisano na odwrotnej stronie jakiegokolwiek opakowania. Później już tylko zdobywano skrawki tapet, czasami strzęp szarego, pakowniczego papieru, używanego do buchalterii przez zarząd koncentracyjnego obozu.

Słowa drukowanego nie było. Wyteplono wszelki ślad gazety. Jedynie podobno książkę posiadał młody mszalik rzymski, z którego odmaiwiał modlitwy podczas potajemnych nabożeństw. Ale ta książka nabożna i podnoszona wówczas do miary polskiej świętości, była chroniona najwyższym stopniem konspiracji.

Kartka z encyklopedii

I oto kiedyś, jeden z tych ludzi, spychanych do przymusowego analfabetyzmu, znalazł zadrukowaną kartkę przy pracy poza ogrodzeniem obozu. Podniósł, schował i przemycił za druty.

Nie odważano się zajrzeć do utajonego skarbu w dzień. W księżycową noc rozwinięto szmaty, by wydobyć z nich skrócony papier, rozłożyć, wyprostować i przekonać się ze zdumieniem, iż była to kartka, wyrwana z IX-wiecznej encyklopedii Gutenberga. Jaki wicher wyszarpał ją z grzbietu książki i zaniosł aż tu, na zestychnięty szlak, tysiące kilometrów od Polski, od szacownej warszawskiej księgarni, wspólnie z młodzieżą Sienkiewicza i Prusa?

Treść obu stron była błaha. Opisy prowincjonalnych niemieckich miasteczek, o nazwach na literę K. Ilość mieszkańców, kościół, wzmianka historyczna, osobliwości okolicy. Mimo to kartka krążyła z rąk do rąk, pożyczana jako „coś do czytania”. Przy smolnych ogniskach mówiono o bawarskich i nadreńskich osadach, znaleziono kogoś, kto był w jednej z nich i mógł opowiadać z szczegółami. Ów polski druk, złożony łacińską czcionką, stał się symbolem świata, leżącego poza siódmą górą, siódmą rzeką. Dokoła gutenbergowskich stroniczek rósł prawie mit — i gdy dziś, z odległości, wypełnione drukim i piśmem we wszystkich językach, umocnionej setką książek, uczących o Polsce i o polskiej literaturze, spogląda się w tę przeszłość, przychodzi myśl, że chyba w podobny sposób z cudownego znaleziska, z pamiątki dawnej ojcowizny, rodzi się plemienny fetysz.

Głód książki

Głód książki, który w więzieniach był najsilniejszy, rozpoczął się już w pierwszy dzień emigracji. Emigracji choćby z własnego miasta, własnej dzielnicy — wystarczyło porzucenie utartych kolein, przetrut w inne środowiska, aby nagle odkryć czas na czytanie, którego przedtem tak często nie było. Nie chodziło tutaj o zmianę typu zajęć; ludzie, zabiegani od rana do nocy w pogoni za zarobkiem, czytali późnymi wieczorami, musieli czytać. Książka stała się źródłem zapomnienia i narkotykiem wspomnień i także nieoczekiwaną pomocą w trudnym życiu. Wczytując się w poetów romantycznych, mówiono sobie — „więc nie po raz pierwszy” — i umacniano się w nadziei. Poprzez Orzeszkową, Żeromskiego patrzano w nie tak dawne lata, docierając do literatury, zwracając się ku najtypowszemu wyrazom ducha narodowego, ku najczystszyemu, już wykrystalizowanemu wartościom literatury.

Toteż, kiedy po paroletnim odcieciu od książki ta sama fala emigracyjna popłynęła dalej, tęsknota za książką była ogromna. Z tysięcy kilometrów wgnania przywędrowały do Persji i Palestyny potargane podręczniki szkolne, zastarzałe wydawnictwa polskie, gdzieś tam wygrzebane i pielegnowane później, jako jedyny dokument rodzimego języka.

Dołączyły się do tego ogromne potrzeby szkolne. Tysiąc dziewcząt w szkołach młodszych ochotniczek, rozsiadane po Palestynie i Egipcie szkoły junackie, dzieci polskie w Indiach, 7000 młodzieży w wieku szkolnym w Afryce. I trzeba sobie uświadomić, iż dzieciarnia mówiła czasem lepiej językami środkowej Azji, niż po polsku, że rosła młodzież, dla której Kraków i Warszawa stawały się tylko symbolami z patriotycznej mitologii.

Wprawdzie Palestyna była znacznym skupiskiem polskich książek. Przeważały w nich jednak molowartościowe tłumaczenia, podręczników zaś brakło. Książki,

nadchodzące z Londynu, wiązały się przeważnie z zagadnieniami praktycznymi, z tematem angielskim, z polskim wkładem do wojny. Były pożyteczne, nie zaspokajając jednak najważniejszej potrzeby.

Toteż w szkołach uczono początkowo z pamięci i na pamięć, niczym jak to jest do dziś dnia w abisyńskim systemie oświatowym, lub w muzułmańskich uniwersytetach religijnych. Gimnazjum cywilne w Tel-Awivie nie posiadało tekstów do nauki literatury, nieliczne podręczniki starało się powielić, uczęło z angielskiej książki.

Ośrodek palestyński

Dziś, po niespełna dwóch latach, Palestyna stanowi najważniejsze na emigracji centrum druków polskich. W hurtowej składnicy, kierowanej przez dra Scharfa, skupiają się wydawnictwa Ministerstwa Oświaty i Wydańnictwa „W Drodze”, by następnie ruszyć w świat ku Anglii, Afryce, Indiom — niezadługo — ku Nowej Zelandii i Meksykowi. W Palestynie bowiem odbywa się druk podręczników szkolnych, tutaj przedrukowuje się licznych klasyków polszczyzny, tu Wydawnictwo „W Drodze” ogłasza nowe utwory pisarzy polskich, a wojskowe biura wydawnicze przygotowują książki dla żołnierza i broszury polityczne.

Wydawnictwa Ministerstwa Oświaty osiągnęły już setną pozycję wydawniczą. Ten dobrze zasłużony jubileusz dzieli prawie dwa lata od pierwszego projektu.

Inicjatywa szeroko, jak na warunki emigracyjne, zakrojonego wydawnictwa należy do prof. St. Kota, z okresu, gdy jako minister stanu reorganizował placówki rządowe na Środkowym Wschodzie. Władze angielskie dały ułatwienia techniczne, polska wojskowa Komisja Regulaminowa - Wydawnicza przyczyniła się do usunięcia trudności formalnych i sprawnego wykonania projektu, wreszcie pracę znalezienia oryginałów, uporządkowania i uwspółcześnienia tekstów przeprowadził doc. dr Łukasz Kurdybacha, który obecnie kieruje, z ramienia Ministerstwa Oświaty całością wydawnictw szkolnych na Środkowym Wschodzie.

Szkola i podręcznik

Pracę rozpoczęto w październiku 1942 r. Papier i ułatwienia druku otrzymano od władz angielskich, odnoszących się do tej sprawy z pełną życzliwością. Pierwszą rzeczą było dostarczenie podręczników dla szkół, a wśród nich, naczelnym zadaniem, zaopatrzenie w podręczniki szkoły powszechnej, skupiającej największą liczbę dzieci. Ponieważ szkoły były prowadzone przez wojsko i ponieważ większe ilości papieru mogły otrzymać tylko instytucje wojskowe, podręczniki ukazywały się formalnie nakładem Komisji Regulaminowo-Wydawniczej A. P. na Wschodzie, będąc jednak w swej treści zawsze publikacjami Min. Oświaty. Od dn. 1 marca b. r. nastąpił całkowity rozdział między wydawnictwami wojskowymi a szkolnymi.

Znalezienie oryginałów wymagało niemal detektywnej pracy i stałego wywiadu, przetrząśnięcia czytelni, zwracania się do księgozbiorów prywatnych, agentów, jeżdżących po kibucach w poszukiwaniu polskich książek.

Ale i odnalezienie książki nie załatwiało jeszcze sprawy druku. Liczne podręczniki wymagały zmian i poszerzeń, związania tematycznego z obecną wojną, zaś teksty beletrystyczne — uwspółcześnienia pisowni. Wreszcie trzeba było pamiętać, iż geografia, historia, literatura będą uczyć o Polsce, która nie stoi przed oczyma, żywa, bezpośrednia, rzeczywista, lecz jest tylko obrazem pamięci. Toteż w zakresie szkoły powszechnej poprawiono przede wszystkim podręcznik geografii, a serię wypisów z języka polskiego uzupełnił dr Kurdybacha najnowszym materiałem literackim. Dziś, poza historią na klasę VI, szkoła powszechna posiada komplet podręczników. Wielka praca, włożona kiedyś w Polsce w ich nowoczesne przygotowanie, została uratowana, a jej dzieło — odbudowane w nowoczesnym kształcie.

Gimnazjum i liceum

Podobne trudności spotykano, przygotowując podręczniki dla dwóch następnych szczebli szkolnych: dla czteroklasowego gimnazjum i dla ogólnokształcącego dwuklasowego liceum. W zakresie gimnazjalnym brak już jedynie dwóch podręczników geometrii oraz historii na klasę IV, co prawdopodobnie zostanie uzupełnione podczas lata.

Najtrudniejsze zagadnienie przedstawia liceum, którego program jeszcze w Polsce znajdował się w fazie prób i poszukiwań. Podręczniki dla liceum zaczęły wychodzić w 1937 r., przy czym wobec objęcia Ministerstwa Oświaty przez prof. W. Świątosławskiego i nowych opracowań programu licealnego nie zdołano na czas wydać potrzebnych książek. Tak więc o ile pierwsza klasa licealna posiadała w Polsce podręczniki, uzgodnione z nowym programem, druga licealna była jeszcze

bez podręczników. Książka Bornholtza dla pierwszej licealnej „Zagadnienia życia współczesnego” miała już w r. 1939 swą drugą część w składaniu; świetny, nowoczesny podręcznik Kleinera do historii literatury polskiej ukazał się dla pierwszej licealnej i był doprowadzony do powstania listopadowego i t. zw. „szkoły ukraińskiej”, drugi tom leżał już w drukarni lwowskiego Ossolineum gotów do druku, gdy wybuchła wojna.

Wydawnictwo Min. Oświaty nie mogło więc do dziś dokonać przedruków. Pierwszą licealną na ogół zaopatrzone w podręczniki, uzupełniając podręcznik Bornholtza i przedrukując podręczniki chemii i historii, literatury Kleinera wraz z towarzyszącymi tomami wypisów i materiałów, dogmatyki Sieniatyckiego i inne. Z zakresu matematyki prawdopodobnie w nowym opracowaniu ukaże się trygonometria.

O ile jednak sytuacja nauczyciela matematyki była względnie prosta, o ile nauczyciel historii mógł korzystać przy wykładzie z dawnych podręczników ośmioklasowego gimnazjum i z przestarzałego lecz usystematyzowanego Lewickiego, o tyle — w zakresie języka polskiego — nie tylko uczeń, ale i nauczyciel byli zdani wyłącznie na swoją pamięć. Wreszcie nauka literatury, jako skrótu historycznego, bez odpowiednich tekstów, jest martwa, jest szkodliwą fikcją. Przed dwoma laty ratowano się wypożyczaniem do ostatniego strzępu, ostatniego prochu...

Biblioteka klasyków

Ale ten stan rzeczy nie mógł trwać długo. Jeżeli chodzi o gimnazjum nowego typu, zaradzono mu w ten sposób, że czterotomowe wypisy „Mówią wieki” otrzymały uzupełnienie w tomie czwartym, wiążąc się z chwilą obecna. Ponadto antologia dr. Kurdybachy „Naród w walce” dopełniała wypisy i dawała aktualną lekturę, a wydana „W Drodze” sienkiewiczowska trylogia wraz z „Syzyfowymi pracami” wypełniała najdotkliwszą lukę w lekturze obowiązkowej.

Lektura obowiązkowa liceum jest dość rozległa. Już pierwszy tom literatury Kleinera, mimo obszernych wypisów, wymaga przeczytania kilku utworów w całości, jak np. „Trenów”, „Odprawę posłów greckich”, wyboru pism Krasickiego, „Marii” Malczewskiego, oraz mickiewiczowskich „Ballad i romansów”, „Sonetów krymskich”, „Grażyny”, „Konrada Wallenroda”, „Dziadów”...

Z chęci wypełnienia tych braków powstała myśl „Biblioteczki Szkolnej na Wschodzie”, która dała młodzieży podstawowe teksty naszych klasyków poezji, dramatu i powieści. Jej też nakładem, pod redakcją dra Kurdybachy, ukazała się większość wspomnianych utworów, bądź jako przedruk krakowskiej „Biblioteki Narodowej”, bądź też, gdy nie można było odszukać odpowiedniego tomu, w nowych opracowaniach. Dodano jeszcze do tego niemieckie „Powrót pości”, Felińskiego „Barbarę Radziwiłłównę”, Fredrowską „Zemstę” i „Śluby panieńskie” oraz zapowiadany już „Sarmatyzm” Zabłockiego.

Brak jednak jednej z najważniejszych pozycji: „Pamiętników Paska”, których egzemplarz istnieje w Palestynie w wyd. Biblioteki Narodowej; nie można jednak uzyskać zgody na jego wypożyczenie. Pożyczony byłby również „Dworzanin polski” Górnickiego, któryby przeciwstawił barokowej epoce Paska obraz ideałów renesansu, dalej zaś wybór pism Brodzińskiego i Mochnackiego. Wszystkim takim projektem staje na zawadzie trudność znalezienia oryginałów.

Można więc powiedzieć, że pierwsza klasa licealna jest mniej więcej zaopatrzona w podstawowe teksty. Natomiast klasa druga już nie może korzystać z podręcznika Kleinera, którego pierwszy tom urywa się — historycznie — na 1830 r., literacko na „Pieśniach Janusza” i włoskich utworach Mickiewicza. Nauczyciel liceum nie może tu posługiwać się Chrzanowskim, którego popularna „Literatura Polski Niepodległej” nie przekracza, jak sam tytuł wskazuje, okresu stanisławowskiego, książka Wojciechowskiego jest popularnym i b. pobieżnym przeglądem. Należało więc wypełnić trzy zadania: 1) dać pomoc nauczycielom, 2) objaśnienie i pomoc dla ucznia, 3) wreszcie dostarczyć do lektury autentyczny tekst.

Kreśli to ramy przedsięwzięcia, przerastającego ramy znakomitej przedwojennej „Biblioteki Narodowej”. Toteż wypełniono je częściowo, rezygnując nieraz ze świeższych opracowań wobec braku sił natkowych na miejscu, tym niemniej i projekt, i wykonanie ogarnęło autorów polskich od Kochanowskiego do Kossak-Szczuckiej. Pierwsze prace nad skromnie nazwaną „Biblioteczką Szkolną” rozpoczęto w maju 1943 r., dziś „37” stanowi kolejny numer biblioteczki, a nie ma miesiąca, by nie przybyło kilka świeżych tomów.

Odbudowa literatury

Wagę tego zamierzenia da się ocenić właściwie dopiero wówczas, gdy się spostrzeże, że obecne młode pokolenie emigracyjne

wzrastało bez znajomości Sienkiewicza czy Prusa, Żeromskiego czy Orzeszkowej, Mickiewicza, Słowackiego; gdy się także przypomnia, iż nie wiadomo, ile książek i jakie książki zastaniemy w kraju, w którym tępiła ślad literatury narodowej wszelka cenzura.

Trudno dziś dyskutować wybór poszczególnych pozycji, gdy jest to zależne od przypadku odnalezienia oryginału, trudno również rozważać pominięcia, gdy jest to zależne od ukazania się tejże samej książki w Anglii, warto jednak podkreślić, iż teren Środkowego Wschodu odnosi minimalne korzyści z wydań londyńskich i szkockich. Wydrukowanie „Grażyny” czy „Konrada Wallenroda”, czy wreszcie „Chłopów”, których tu nikt ani jednego egzemplarza nie widział, jest z punktu widzenia miejscowych potrzeb szkolnych i czytelniczych — fikcją, wobec skromnej ilości egzemplarzy, nadchodzących z Oceanu. Ta jednak fikcja przyczynia się do skreślenia z programu dra Kurdybachy wielu rzeczy potrzebnych i pożytecznych.

Tak więc Mickiewicz został ograniczony do „Pana Tadeusza”, „Ksiąg Narodu i pielgrzymstwa polskiego”, „Poezji” w wyborze Kallenbacha i „Dziadów” cz. III-ej, jaka się niebawem ukaże. Słowacki jest reprezentowany przez „Lilę Wenedę” i „Balladynę”, „Utwory pomniejszych” w oprac. ks. Kantaka, nadto dr Kurdybacha przygotowuje komentowane wydanie „Podróży na Wschód”. Powinny przybyć do tego „Beniowski” i wybór poematów. Jest już Krasieńskiego „Nieboska Komedia”, „Irydion” zachował się w większej ilości w wyd. Biblioteki Narodowej, pożądany jednak byłby przedruk, jak również i dokonanie wyboru utworów pomniejszych. Fredro posiada już w Bibliotece obydwa swe arcydzieła, Wyspiański byłby reprezentowany dostatecznie, gdyby do „Wesela”, „Warszawianki” i „Nocy listopadowej” dodać jeszcze „Wyzwolenie”; winienby jeszcze towarzyszyć temu wybór Ujejskiego, Tetmajera, następnie zaś próba antologii poetów 20 lat Niepodległości.

Powieść polska

Od czasów Korzeniowskiego, doby Kraszewskiego, poczyniła się rozkwit powieści polskiej, pisanej prozą, która też w czasach pozytywistycznych wysuwa się na naczelną miejscę piśmiennictwa narodowego. Jest to dziś w znacznie szerszym mierze niż poezja romantyczna lektura nie tylko szkoły, ale i całego ogółu kulturalnego. W porozumieniu z Wydawnictwem „W Drodze”, „Biblioteczką” dra Kurdybachy próbuje ogarnąć najcenniejsze utwory polskiej powieści. A więc ukażą się ma Kraszewskiego „Stara baśń”, sienkiewiczowskie tomy „W Drodze” zostają uzupełnione przez „Quo vadis”, „W pustyni i w puszczy” i wybór nowel, z twórczości Prusa wybrano do druku „Faraona”, „Emancypantki”, „Dzieci”, „Anielkę” i szereg nowel („Lalka” ukaże się nakładem Wydawnictwa „W Drodze”), z Orzeszkowej „Nad Niemnem” i „Chłopa”, Reymonta będzie czytelnik przypominał sobie poprzez „Fermenty”, i „Ziemie obiecaną” — niestety, ani „Z Ziemi Chełmskiej”, ani „Sprawiedliwie” nie udaje się znaleźć. Z „Chłopów” wydanych jakoby w Anglii — dla całego obszaru od Indii do Egiptu teoretyczny tylko pożytek.

Żeromskiego wydało „W Drodze” — „Syzyfowe prace”, w Biblioteczkę Szkolną ukażą się „Popioły” i „Wierna rzeka”; w druku znajdują się „Ludzie bezdomni”, nowele wejdą zaś do osobnego tomu noweli pozytywistycznej, opracowanego przez Z. Grzybowską, a obejmującego także utwory Orzeszkowej, Dygasińskiego, Klemensa, Junoszy... Pełnego wydania „Godów życia” Dygasińskiego nie można uczynić wobec braku oryginału...

Z Weysenhoffa zamierzony jest „Soból i panna” lub „Puszcza”; wyszło czołowe dzieło Orkana p. t. „W Roztokach”, z nowszych pisarzy ukażą się mają dwie powieści, będące chyba najważniejszymi osiągnięciami polskiej prozy w ostatnich latach: „Noc i dzień” Dąbrowskiej oraz „Krzyżowcy” Kossak-Szczuckiej. Te zamierzenia rosną z dnia na dzień, wraz ze spełnieniem obowiązków wobec potrzeb najpilniejszych, wraz z odkrywaniem w Palestynie nowych oryginałów.

Książka dla żołnierza

Każdy nowy tom jest także nową książką dla żołnierza. Jakże często na reportażyach zdjęciach „Parady” z Włoch można było widzieć żołnierzy, odpoczywających — z książką w ręku. „Trylogię” nosiły muły po stromych ścieżkach frontu apenińskiego na równi z zaopatrzeniem w corned-beef i suchary. Osobliwe gimnazjum Karpacie na froncie również wymagało książek i rozpalało chęć do dalszego czytania.

Dlatego też obok klasyków literatury „Biblioteczką” wydaje autorów, niosących pożytek, rozrywkę, zadowolenie estetyczne, przypomnienie kraju. Jest więc książka śląska Kossak-Szczuckiej „Nieznany kraj”, będzie wkrótce „Lwów” St. Wasylewskiego z serii (Dokończenie na str. 5)

STANISŁAW LUKAS

Przyczyny zanikania życia szczepowego

Nigdzie chyba przeobrażenia społeczne nie są tak gwałtowne i rzucające się w oczy, jak w ostatnich latach na Środkowym Wschodzie. Przeobrażenia te rozpoczęły się po wojnie 1914—18 r., ale nabrały na sile dopiero po r. 1930. W Turcji ewolucja nastąpiła wcześniej, zresztą w każdym państwie Środkowego Wschodu przemiany te mają odmienne formy i niejednokrotne nasilenie.

Niniejszy artykuł porusza tylko pewien odcinek tych przeobrażeń: zanikanie, upadek szczepu i przejście ku bardziej współczesnym formom życia społecznego. Jakkolwiek kultura i cywilizacja Wschodu świeciła pełnym swym blaskiem, gdy jeszcze cała Europa tonęła w mrokach barbarzyństwa, to jednak na skutek późniejszych zdarzeń rozwój Wschodu został zahamowany, co umożliwiło przetrwanie starych form życia szczepowego. Dopiero zjawienie się nowych czynników, a przede wszystkim modernizacja organizacji państwowej oraz autorytatywny sposób rządu, spowodowały zanikanie i upadek szczepu. Państwo współczesne nie jest w stanie tolerować życia szczepowego, — nawet gdyby sfery rządzące nie były bezwzględnie wrogo ustosunkowane do tej formy organizacji społecznej.

Zjawisko zanikania życia szczepowego występuje w pierwszym rzędzie w okolicach podmiejskich, wśród ludności osiadłej, w górach. Największe widoki przetrwania ma szczep na pustyni, gdzie ingerencja władz państwowych jest najniższa.

Masywy i liczne pasma górskie, leżące na styku trzech państw: Turcji, Iranu i Iraku, noszą miano Kurdystanu. Granice polityczne, rozdzielające ten obszar, sprawiły, że proces zanikania szczepu na każdym z poszczególnych terytoriów Kurdystanu ma przebieg nieco odmienny. Tak zwany Kurdystan południowy (iracki) posłużył jako teren do obserwacji, na których podstawie został napisany niniejszy artykuł.

* * *

Geneza powstawania szczepu jest rozrastanie się i powiększanie jednej rodziny lub łączenie się poszczególnych rodzin, nie związanych pokrewieństwem, w związki szczepowe. W legendach większości plemion istnieje wspólny praojciec całego szczepu, postać nie raz mityczna. Wiara we wspólnego przodka, bohatera legend i powieści, podkreśla silnie solidarność szczepu. Istnienie szczepu spowodowane jest w pierwszym rzędzie wymaganiami życia, jak np. obroną, bezpieczeństwem, zapewnieniem warunków, koniecznych dla egzystencji. Rzecz oczywista, że zapewnienie bezpieczeństwa indywidualnego dla poszczególnych członków jest najsilniejszą spójnią na terenach, słabo opanowanych przez aparat administracyjny. Nie bez znaczenia jest również i wspólnota interesów ekonomicznych plemienia. Jakkolwiek u większości nomadów każda rodzina prowadzi gospodarkę na własny rachunek, to jednak tylko wspólnymi siłami szczep jest w stanie zapewnić sobie pastwiska dla wspólnie wypasanych trzód, czy przydział wody dla pól uprawnych. Jako regułę można przyjąć, że organizacja szczepowa zjawia się natychmiast, gdy ród staje się niezdolny do udzielenia obrony i zapewnienia bezpieczeństwa.

Plemiona rządzą się zwykle prawem zwyczajowym, którego zasadniczą przewodnią myślą jest podkreślenie solidarności plemiennych, wynikającej z więzów pokrewieństwa (pokrewieństwo to często jest wymaginowane). Prawo krwawej zemsty, „vendetta”, ustalające niejako odpowiedzialność zbiorową jednego szczepu wobec drugiego za występki członków, nie jest czynnikiem, sprzyjającym rozwojowi przestępczości, a przeciwnie, stanowi hamulec, nie dopuszczający do rozpasania się bezprawia i zbrodniczości. Szczep, którego członek został zabity przez obcoplemiennika, ma obowiązkiem zabić kogoś z rodziny lub szczepu mordercy. Przy wykonaniu tego niepisanego wyroku mściciele starają się tylko zbilansować własne straty, unikając zbędnych zabójstw. Można tu zastosować powiedzenie: „oko za oko, ząb za ząb”. Jeśli mściciele przez nieopatrzność lub nienawiść zabili więcej ludzi, niż poprzednio stracił ich szczep, rolę odwracającą się z kolei, i polowanie na życie ludzkie trwa nadal, nieraz przez dziesiątki lat. Ponieważ cały szczep zainteresowany jest w zapewnieniu sobie bezpieczeństwa, nie wiadomo bowiem, na kogo spadnie zemsta, zdarza się, że przez zapłatę „ceny krwi” szczep uwalnia się od odpowiedzialności zbiorowej.

* * *

W dzisiejszym Kurdystanie spotykamy następujące typy szczepów: koczownicze, półkoczownicze i osiadłe. Pierwsza grupa nie ma stałych miejsc pobytu. Rzecz oczywista, że plemiona mają swoje ustalone tradycje rejonu koczowania, które czasem pod wpływem zdarzeń politycznych zmieniają. Największym tego rodzaju przesiedleniem było przejście niektórych grup szczepu Milli z rejonu Diarbekr i Urfa do płn. Jezireh w Syrii. Przyczyną tej emigracji było stłumienie powstania kurdyjskiego w r. 1925 i wywołane nim represje.

Półkoczownicy spędzają jesień, zimą i

wiosnę we wsiach, zajmując się uprawą roli. W lecie ludność ze stadami rusza w góry. Hodowla jest podstawowym środkiem utrzymania zarówno koczowników, jak i półkoczowników. Dla tych ostatnich uprawa roli jest tylko zajęciem ubocznym.

Grupa ludności osiadłej opiera swą egzystencję materialną na uprawie roli. W niektórych wioskach stada stanowią jednak poważną pozycję w gospodarce. Zachowuje się tu system podobny do spotykanego u nas, w Karpatach: bydło, należące do kilku gospodarzy, wypędzane jest wspólnie na hale pod opieką gromadzkich pasterzy.

Istnieją plemiona osiadłe, których kilka rodzin czy grup nadal koczuje, są całe plemiona koczownicze, z których część zdołała się już osiedlić.

Tam, gdzie istnieją sprzyjające warunki naturalne, koczownicy osiadają na roli. Zjawisko to obserwujemy obecnie w całym Kurdystanie i świadczy ono, że nomadyczny tryb życia nie jest kwestią osobistego zamiłowania, a tylko koniecznością gospodarczą.

Przejście z jednego trybu życia do drugiego odbywa się powoli i początkowo nie rozbija organizacji szczepowej. Z czasem jednak następuje ewolucja, której najlepszym wskaźnikiem będzie zmiana stanowiska i władzy wodza. Wódz plemienia koczowniczego właściwie nie posiada żadnej władzy: plemię może go słuchać lub nie, wszystko zależy od autorytetu osobistego i stopnia zaufania. Jeśli wódz jest jednostką wybitną i potrafi utrzymać kilkunastu czy kilkudziesięciu ludzi straży przybocznej, władza jego niepomiernie wzrasta. Z chwilą gdy szczep osiedla się, Aga, Mir czy Beg (tytuły, najczęściej spotykane wśród wodzów kurdyjskich) potrafi zawsze zapewnić sobie najlepsze udziały i największe korzyści materialne. Równocześnie zmienia się charakter jego dotychczasowej, nawiązał plemienną władzę. Z chwilą osiedlenia się, staje się możliwe zbieranie daniny od członków szczepu. Daniny te, przeważnie w naturze, pozwalają wodzowi na utrzymywanie stałej gwardii, wynajmowanie robotników do uprawy roli i t. d. Gdzie niegdzie Aga potrafi stać się właścicielem całej ziemi, uprawianej przez szczep, członkowie plemienia są wówczas warstwą chłopów pańszczyźnianych. Z biegiem lat powstaje coraz większa przepaść między Agą a jego współplemiennikami. Ziemia wraz z ludnością staje się w tym stanie rzeczy własnością rodziny wodza, może być dana jako posag, oddana w zastaw, sprzedana. Zrywa się patriarchalna więź, jaka istniała w górach między wodzem a członkami plemienia. Czasami w wiosce osiedla się kilku koczowników z innego plemienia, lecz ponieważ w tych warunkach związki rodzinne już nie odgrywają roli, szybko są wchłonięci przez szczep, wśród którego żyją.

Wytlumaczeniem tych zjawisk będzie w pierwszym rzędzie zagadnienie bezpieczeństwa. Gdyby nie obecność Agi, osiedle tak by rabowane było przez sąsiadów, że wszelkie możliwości dalszej egzystencji przestałyby istnieć. Z drugiej strony, władza Agi ulegała wzmocnieniu; stała gwardia, którą utrzymuje z dochodów z danin, potrafi zapewnić mu bezwzględny posłuch. O ile wśród koczowników posiadanie stałej gwardii przez wodza jest raczej wyjątkiem, o tyle wśród plemion osiadłych zmienia się w regułę.

Możnaby przeprowadzić analogię między systemem feudalnym a obecnym układem stosunków w niektórych krajach Bliskiego Wschodu. Dużym błędem jednak byłoby przypuszczać, że Kurdystan dzisiejszy strukturą swą całkowicie przypomina Europę XII stulecia. Można zaobserwować szereg różnic, które jednak na tle zachodzących analogicznych procesów są tylko zjawiskami chwilowymi. Ogólna linia ewolucji społecznej idzie w kierunku zmiany systemu demokratyczno-plemiennego w feudalno-pańszczyźniany. To też gdyby terytoria te nie pozostawały pod wpływem czynników zewnętrznych, po pewnym okresie czasu spotkalibyśmy tu organizację społeczną, analogiczną do układu społecznego w Europie średniowiecza.

Te czynniki zewnętrzne to w pierwszym rzędzie interwencja państwa, rządzonego mniej lub więcej według współczesnych wzorów europejskich. Zastaje ona Kurdystan w momencie dokonywującej się ewolucji społecznej. Uderza zarówno w szczepy koczownicze, osiedla plemiennych rolników, jak i Agów, właścicieli wielkich posiadłości. Zjawienie się silnej władzy państwowej, wprowadzenie administracji na terenach słabo opanowanych, jest nagłe i działa niemal rewolucyjnie. Warunki do wprowadzenia administracji państwowej w Kurdystanie irańskim i irackim zaistniały dopiero po r. 1932. Ciekawe są przeobrażenia, jakie potem nastąpiły, oraz przyczyny, które je spowodowały.

Poprzednio wyliczone były przyczyny powstawania organizacji szczepowej i jej przechodzenia w ustrój feudalny. Właściwie ustrój feudalny już sam w sobie oznacza upadek systemu szczepowego, ale nim się on dokona w całej rozciągłości, można jeszcze mówić o istnieniu systemu szczepowego w pewnej ograniczonej formie.

Państwo, jak widzimy na przykładzie Iranu, bezwzględnie i ostro uderza w organizację szczepową. Silne, solidarne plemiona są stałym niebezpieczeństwem dla spokoju publicznego, wodzowie nieraz z bronią w ręku przeciwstawiają się wykonaniu ustaw, gospodarka hodowlana daje małe dochody, szczep nie chce dostarczać rekruta, płacić podatków, konsumować wyrobów monopolowych, posyłać dzieci do szkół i t. d. — oto pierwsze powody, które prowokują akcję państwa przeciw szczepom. Inne przyczyny, głębsze, obracają się również przeciw szczepom: nowoczesne ustawodawstwo nie może pogodzić się z systemem pańszczyźnianym, nie może uznawać suwerenności władzy innej, t. j. wodza, nad swymi obywatelami. Wreszcie, w samym szczepie powstają siły, które rozsadzają go od wewnątrz.

Jakie metody stosuje państwo, by zlikwidować organizację szczepową wśród koczowników i tam, gdzie ona pozostała wśród osiadłych? Dla każdego ministra spraw wewnętrznych zagadnieniem, wysuwającym się na czoło wszystkich innych, jest zapewnienie bezpieczeństwa i spokoju publicznego. Rozbrojenie plemion samo przez się nie daje rezultatów na dłuższą metę. Karabin jest na Wschodzie artykułem pierwszej potrzeby i ludność zawsze znajdzie możliwość, by po kilku latach znów się uzbroić. Represje polityczne, im ostrzejsze, tym większy powodują wzrost ducha buntowniczego. Zwalczając anarchię, niektóre państwa uciekły się do jeszcze innego sposobu, t. j. do likwidowania wszystkich wodzów plemiennych. Charakterystyczna jest notatka, jaka ukazała się w lipcowym zeszytzie z r. 1934 „Journal of the Royal Central Asian Society”, opisująca drobny odcinek walki państwa ze szczepem:

„Problem koczowników perskich został już całkowicie rozwiązany. Wojownicy Kaszajowie, którzy przyczynili nam (Anglikom) tyle kłopotu w r. 1918, zostali rozbrojeni. Ich wódz, Solut-U-Dawla, prawdopodobnie nie żyje; jego brat, Abi-Han, który długo podtrzymywał rewoltę, prawdopodobnie został powieszony. Ogólnie rzecz biorąc, wodzowie plemion albo są w więzieniach, albo nie żyją. Wodzowie Bachtiarów z małymi wyjątkami doznali podobnego losu. Niespokojni Borahmeni zostali też spacyfikowani.

Polityka osiedlania koczowników robi stałe postępy, spokój i ład zaczyna być wprowadzany.

Freya Stark przedstawia podobne uwagi, dotyczące Lurystanu, i jakkolwiek można żałować, że niezależne szczepy tracą swą wolność, jest rzeczą najbardziej istotną, że „prawo grabieży”, które przez długi czas panowało na ziemiach, zamieszkałych przez koczowników, przestaje istnieć.

Nie po raz pierwszy w historii wodzowie plemion są wymordowywani lub więzieni. Lecz zawsze zjawiali się po nich następcy i życie szło starym trybem. Dziś tych następców jest coraz mniej. Nie możemy sobie tego inaczej tłumaczyć, jak faktem, że na tle ogólnych stosunków i upadku szczepu wódz przestaje być potrzebny, nie ma poprostu pola działania. Zasadniczym zadaniem wodza była obrona plemienia. Z chwilą zapewnienia bezpieczeństwa przez kogoś innego, w tym wypadku państwo, wódz traci rację bytu.

Rozbrajanie szczepów i likwidacja wodzów jest pierwszym, najbrutalniejszym i najmniej skutecznym środkiem. Następnie zjawiają się inne metody pacyfikacji, jak organizacja aparatu administracyjnego, budowa dróg, budowa szkół, wreszcie — co jest zapewne najważniejsze — stworzenie koczownikom warunków, sprzyjających osiedleniu się, i zapewnienie im bezpieczeństwa.

Takie są przyczyny, które zmuszają państwo do likwidacji szczepu, i środki, jakie ono stosuje.

Lecz i wewnątrz samego szczepu następuje rozkład i rozpadanie się jego organizacji. Szczep rozpada się, bo stał się niepotrzebny, co nastąpiło w pierwszym rzędzie na skutek interwencji państwowej. Państwo wprowadza ład i bezpieczeństwo, więc Aga ze swą gwardią jest niepotrzebny, państwo swymi ustawami nie upoważnia go do zbierania daniny. Jeszcze kilkanaście lat temu każdy człowiek, nie należący do szczepu, był formalnie poza prawem, t. j. był narażony na napad ze strony silniejszego i nie było nikogo, któryby udzielił mu obrony. Dziś stosunki pod tym względem ogromnie się zmieniły. Niektórzy Agowie posyłać dzieci do szkół. Młody Aga, który ukończył szkołę, przez wiele lat był oderwany od życia szczepowego, nie posiada ani energii, ani dostatecznej znajomości życia plemienia, by móc kierować szczepem. Również bogatsza młodzież, która pokonała szkoły i znajduje się na stanowiskach w administracji państwowej, w wolnych zawodach, stanowi żywy przykład, że żyć poza szczepem można, że organizacja szczepowa nie jest konieczna.

Zmiany gospodarcze, spowodowane budową dróg, udostępnieniem rynków zbytu, utworzeniem nowych potrzeb, mają ogromny wpływ. Za konkretny przykład może posłużyć wódz pewnego plemienia koczownicze-

go z rejonu Koi Sendjak. Zajął on kilkadziesiąt hektarów niczyjej ziemi, a pewna ilość rodzin z jego plemienia osiedliła się na tym terenie i uprawia tytoń. W ten sposób Aga zmienił się w kupca, część jego ludzi — w dniówkowych robotników rolnych, reszta koczuje nadal. Przytoczony przykład w niczym nie odpowiada temu, o czym była mowa poprzednio: że następnym etapem systemu szczepowego jest feudalizm. Odpowiedź, dlaczego tak jest, nie nasręcza większych trudności: współczesne warunki zmieniają linię ewolucji. Gdyby osiedlenie się szczepu nastąpiło o trzydzieści lat wcześniej, Aga niewątpliwie zostałby właścicielem ziemskim, ściągającym daniny ze swych włości. Obecnie jest to niemożliwe, jedynym wyjściem dla Agi byłoby zostać kupcem, lub koczować nadal ze swym szczepem.

Obecna wojna, z krótkotrwałymi burzami, które przeleciały nad ziemiami Środkowego Wschodu, pozwoliła na chwilowy renesans życia szczepowego. Zjawili się na nowo wodzowie, dysponujący uzbrojonymi bandami, niektóre obszary stały się niepodzielną domeną władania niezależnych plemion. Najbardziej istotną przyczyną tego stanu rzeczy jest osłabienie władzy państwowej i rozstrój w administracji. Lecz im prędzej nastąpi powrót do normalnych warunków, tym prędzej skończy się władanie wodzów plemiennych i nastąpi upadek życia szczepowego.

* * *

W artykule tym przedstawiony jest obecnie szkielet ewolucji społeczeństwa pierwotnego ku wyższym formom organizacji społecznej. Rzecz oczywista, że w tym olbrzymim kraju, jakim jest Kurdystan, pokryty dziesiątkami łańcuchów górskich, gdzie całe obszary oznaczone są na mapie jako niezbadane, wśród chaosu szczepów, ich zbiteń lub przeciwstawnych interesów, wpływów mocarstw zainteresowanych w tym lub owym stanie rzeczy, ewolucja następuje nierównocześnie, niejednolicie, spotyka się wiele wyjątków i odchyleni.

Lecz sporadyczne wypadki nie tworzą reguły. Bieg zdarzeń idzie po wytkniętej linii, następują zjawiska nieuniknione w swej konieczności. Być może, że zaistnieją warunki zewnętrzne, które opóźnią ostateczny upadek szczepu jako formy organizacji społecznej, ale powstrzymać zanikania szczepu one nie mogą.

Sto książek polskich

(Dokończenie ze str. 4)

„Cudów Polski” Wegnera, Makuszyńskiego „Bezgrzeszne lata”, Mazurska książka Wańkowicza „Bracia dalecy a bliscy” (wybór z „Na tropach Smętka”) leży na półce obok „Lata leśnych ludzi” Rodziewiczówny; wkrótce stanie obok nich tom Morcinka, zapewne „Inżynier Szeruda”.

Wszystko to jest lekturą, niedostępną dla dziecka, które znajduje się w najgorszej sytuacji, gdyż nie ma ani bajek, ani powieści dla młodzieży. Poza paroma przedrukami książeczek Themersonów, jedyną bodaj pozycją świeżą będą wydane przez „W Drodze” A. Krakowieckiego „Bajki białe-czerwone”. To też „Biblioteczka Szkolna”, szukając lektury dla najmniejszych uczniów i uczennic, dla młodzieży szkół powszechnych, włączyła w swój zasięg i książki takie, jak „Baśń polska” (w druku), Konopnickiej „Książka dla Tadzia i Zosi” i „O krasnoludkach i sierotce Marysi”, „Serce Amicis, czy „Król Młody Pierwszy” Janusza Korczaka, lub znakomitą powieść Kiplinga „Stalky i Ska”. Równocześnie wydawnictwo prywatne wydaje „Księgę dżungli”.

Sto książek polskich

Setka książek, wydanych w ciągu zaledwie półtora roku, jest dowodem, jak wiele można zrobić przy odpowiedniej inicjatywie i pracy. Tempo tej pracy wydawniczej ciągle rośnie i druga setka pojawi się zapewne przedzie niż pierwsza. Całość jest nie tylko dla młodzieży — konieczną pomocą, dla wielu — radością i dobrodziejstwem, ale i zapowiedzią tych zadań, jakie w dziedzinie kulturalnej będzie musiało państwo przyjąć po wojnie.

Zagadnienie druku książki polskiej, odbudowy bibliotek będzie jedną z naczelnych potrzeb w dziedzinie kultury. Jeżeli się mówi o upaństwowieniu źródeł surowcowych, trzeba również myśleć o przejęciu przez państwo opieki nad dorobkiem literackim i naukowym.

Mochnacki pisał kiedyś, iż „naród, nie mający własnej, oryginalnej literatury, jest tylko zbiorem ludzi, zamieszkałych na przetrzemi, określonej pewnymi granicami, którzy jeszcze moralnego ogółu nie stanowią”. Dziś to określenie trzeba rozszerzyć przez żądanie, by naród znał swą literaturę i poprzez nią uzyskiwał jasną świadomość, czym jest — świadomość swej odrębności i swej roli, swego miejsca w cywilizacji.

Zdzisław Broncel

Kartka Czerwonego Krzyża z oflagu od Górala i depesza od Sarata z Gibraltaru nadeszły jednego dnia.

Góral pisał:

„Zestrzelili nas w drodze powrotnej znad Berlina, w północnej Francji. Wszyscy zdrowi, czekamy końca wojny. Nie wiemy, co się stało z nawigatorem. Mam trzech spośród naszych do bridge'a i czas jakoś mija. Jeżeli będziecie przysyłać paczki, a zwłaszcza papierosy, to wytrzymam. Poczecie Lucy, tylko nie za gorliwie! Piszę do niej, ale dajcie jej znać, że i do Was pisałem. Wszyskich Was pozdrawiam serdecznie. Do zobaczenia!

Góral”.

Właśnie zaczęliśmy się zastanawiać, kto w tej załodze był nawigatorem — (jakże krótka jest pamięć o zdarzeniach, gdy idą jedne za drugimi, wstrząsając nami, rzucając groźne cienie jak od czarnych chmur, przepływających nad nami, zalewając nas jak fale u brzegu, potrącając nas jak brutalni ludzie, którym się śpieszy, mijając nas w pędzie jak samochody, prowadzone przez pijanych, nieprzytomnych kierowców, osuwając się dokoła nas jak lawiny — o zdarzeniach, piętrzących się za nami jedne na drugich, że nie sposób rozeznaczyć szczegółów, utrwalić wrażenia, uporządkować je w czasie i przestrzeni!) — zaczęliśmy przypominać sobie nawzajem tę wyprawę na Berlin, ostatnią, w której Góral brał udział, gdy nadeszła krótka depesza z Gibraltaru, adresowana bezimiennie „Do Dowódcy polskiego dywizjonu bombowego Nr.…”:

„Nie sprzedawać mego samochodu. Wracam w tych dniach.

Sarat”.

Ubawiła nas tej treści pierwsza wiadomość od Sarata, i naturalnie — przypomnieliśmy sobie zaraz, że to on właśnie był nawigatorem Górala w ostatnim locie na Berlin.

Nie urządziliśmy jeszcze sprzedaży z licytacji rzeczy tej zaginionej załogi (robi się to bowiem raz na parę miesięcy — hurtem), co zaś do samochodu, to i tak nikt by go nie kupił. Był to stary grat, który złośliwie psuł się Saratowi raz po raz, przeważnie w nocy i przeważnie daleko od jakiegokolwiek garażu. Można było te „Złota Strzałę” spokojnie zostawić przez tydzień na szosie i z pewnością nikt by jej sobie nie przywłaszczył; co najwyżej policja odszukałaby w końcu właściciela i ukarałaby go w drodze administracyjnej grzywną za brak świateł na postoju w nocy. Ale Sarat bardzo się do tego archaicznego pojazdu przywiązał i pierwszą jego troską było, czy go zastanie w garażu, gdy wróci.

Zawiadomiliśmy „Lordów” o dobrych nowinach, wcale nie licząc na to, by Sarat tak prędko z Gibraltaru przyjechał. Lucy miała już wiadomość od Górala, o Saracie zaś wiedziała więcej niż my: w trzy dni później zobaczyłem jej szary roadster, stojący przed kasynem, i ją samą w otoczeniu kilku kolegów w pokoju dla pań.

— Sarat wrócił — powiedziała, witając się ze mną. — Będzie tu za godzinę. I am so happy!

*

Siedział naprzeciw nas, wyciągnąwszy prawą nogę w szynie daleko w przód, i mówił, zacinając się czasem lekko, gdy zwracał się do Lucy, by wtrącić objaśniające zdanie po angielsku.

— Ja rozumiem — zapewniała go z uśmiechem. — Niech pan mówi po polsku. Ja wszystko rozumiem.

Wtedy spoglądał dokoła po naszych twarzach i sam się uśmiechał; ale ten uśmiech nie odbijał mu się w oczach: oczy miały jakby przeświecone cierpieniem, głębsze, jeszcze czarniejsze niż dawniej. Czasem przerywał w pół zdania i spoglądał nagle, jakby z niepokojem, w stronę drzwi. Potem przygryzał wargi i — pochylając głowę — kończył zdanie, lub zaczynał inne, przerywając czy też gubiąc myśl poprzednią.

Zauważyłem, że jego czarna, gęsta czupryna przysprząsła siwizna. Rysy pięknej, męskiej twarzy wystrzyżły się, pionowa zmarszczka między brwiami pogłębiła się jeszcze, a sieć błękitnych żyłek na skroniach występowała wyraźnie w świetle stojącej za nim lampy. Zawsze był szczupły, choć silny: kości miał cienkie, długie, mocne ściegna i zwarte mięśnie; teraz wysechł na drzazgę — mundur wisiał na nim jak na wysokim, drewnianym krzyżu.

Mimo to nie wzbudzał bynajmniej politowania. Przeciwnie — jego wzrok, chwilami niespokojny, te nagle przerwy w opowiadaniu, ta sztywna noga ze stopą w gipsie, nawet ten uśmiech, który wybijał tylko na cienkie wargi, pozostawiając resztę twarzy w mroku — czyniły wrażenie czegoś bardzo mocnego, czegoś — powiedziałbym — wielkiego; wynosiły Sarata ponad nasz poziom; ponad poziom tego, co mówił o sobie. Kazały się domyślać takiej siły, zdolności do takiego napięcia woli, o jakich nie możnaby sądzić na podstawie samych tylko słów tej opowieści, której słuchaliśmy przecież z zapartym tchem i którą czualiśmy się przejęci głęboko.

— Więc Góral umówił się z nami, że zbombardujemy gmach kanclerski Hitlera — powiedział Sarat, wracając do wątku, który mu przerwało pytaniem o jakiś szczegół. — Załoga się zgodziła i sierżant Ratajczak miał znaleźć ten cel, bo znał Berlin równie dobrze, jak — dajmy na to — ja znam Warszawę. Naturalnie nie podjąłbym się zbombardować na przykład gmachu gestapo w Alei Śucha z wysokości dwudziestu tysięcy stóp, w nocy,

kiedy Warszawa jest nieoświetlona; ale z dwóch — trzech tysięcy — myślę, że trafiłbym. No i właśnie zeszliśmy na trzy tysiące nad Berlinem...

— Zeszliście na trzy tysiące?!... — powtórzył ktoś z niedowierzaniem i podziwem. — Jak?!!

— Ratajczak się przymierzył od kogoś tam przedmieścia, które paliło się jak cholera, i poszliśmy pika w dół.

Zygmunt tracił mnie łokciem.

— Zwariowali — powiedział, wzruszając ramionami i marszcząc brwi.

— No i — co? — spytał Lejba.

— Bardzo dobrze wycyrklowała — rzekł Sarat. — Bałem się, że przy wychodzeniu z tej piki urwie nam bomby, albo nie wytrzymają skrzydła, ale wytrzymały i jedne, i drugie. Góral wyrównał nad jakąś szeroką ulicą, która płonęła po obu stronach. Nikt do nas nie strzelał, choć nurkując przechodziliśmy kilka razy przez reflektory. Nie złapani nas w stożek i albo nas w ogóle nie dostrzegli, albo uważali nas za wykonanych. Nigdy nie byłam tak blisko nad celem, jak wtedy. To robi wrażenie...

Szliśmy przez dym, jak przez chmury, rzućmy podmuchami wybuchających bomb, które padały to tu, to tam, niemal wprost na naszym szlaku. Nad nami — rozumiecie? — były inne maszyny. To było strasznie denerwujące: mogliśmy zderzyć się z taką baryką w powietrzu; mogła nas trafić po drodze... Rzucało także od ślupów nierówno nagrzanego powietrza, które kołowało się nad Berlinem jak lotny ukrop. Niewdzialne, potężne gejzery rwały w górę; poskręcane, pionowo płynące strumienie podrywały nas, zmiatały nas ze swej drogi, niosły nas w przód i zatapiały w wirach. A my... My — uparliśmy się dolecieć nad cel. Chwilami zdawało mi się, że lecimy przez piekło, po którym tańczą oszalałe zgraje diabłów, czarownic, czy innych potępieńców — tańczą i potrącają nas, spychają nas z drogi, wciągają w ten cwałujący taniec bez rytmu, porywają ze sobą na zatrącenie. Wtem zeszliśmy znad obszaru, objętego ogniem, i Ratajczak powiedział, że cel jest wprost przed nami. — „Tylko flara by się przydała, panie kapitanie — powiada — bo ciemno, nieprawdaż, a szkoda, żebyśmy teraz goala nie strzelili, jak już tu jesteśmy”. — Rzuciliśmy flarę, jedną i drugą. Wtedy zaczęli do nas grać — no! Myślałem, że to koniec z nami. Ale cel był tuż: wchodził mi właśnie na celownik. — „Ten dom z okrągłym podjazdem?” — pytam. — „Ten — mówi. — Drugi od rogu; jak te trawniki — o! Teraz, panie kapitanie, teraz!”. Położyłem całą serię bomb, ileśmy ich mieli. Nie widziałem, gdzie padły, ale strzelcy narobili wrzasku, że „w celu”. Góral dał tymczasem pełny gaz, i rwaliśmy w skrętach, coraz niżej, bo nie było sensu pchać się do góry: na dwa tysiące, czy na pięć — jednakowo nas mogli zdjąć. Do dziś nie wiem, jakim cudem wymknęliśmy się reflektorom i artylerii: chyba połowa obrony przeciwlotniczej Berlina uzięła się, żeby nas wykończyć. Ze wszystkich stron pochylały się ku nam reflektory; ze wszystkich stron pędziły na nasze spotkanie świejące koraliki pocisków, jak bańki gazu w szampanie; co kilka sekund stawały przed nami zapory ogniowe — a my lecieliśmy jeszcze i jeszcze; krążyliśmy, wymykaliśmy się, kluczyliśmy przez ten gąszcz śmierci, wsłuchani w warkot silników i w grzechot odłamków, które strzeliły nam skrzydła i stery, napięci w oczekiwaniu nieuniknionego — zdawałoby się — końca, gdy wreszcie jeden z owych tysięcy pocisków rozwalił maszynę w kawały. Nic podobnego nie nastąpiło. Nikt nie był nawet draśnięty. Może tylko dzięki temu wytrzymałem nerwowo tych kilka minut i nie zacząłem krzyczeć, szlochać, czy śmiać się, jak na to miałem ochotę. Jestem przekonany, że gdyby jeden z silników przerwał — cała załoga dostałaby ataku hysterii. Wyszliśmy spod ostrzału daleko poza Berlinem i Góral dopiero wtedy zaczął nabierać wysokości, ja zaś dopiero wtedy zauważyłem, że lecimy na zachód z lekkim odchyleniem ku południowi, kursem 240°. Musiało minąć z pół godziny od chwili zrzucenia bomb, gdy zidentyfikowaliśmy Elbę, gdzieś na południe od Magdeburga. Wtedy dopiero zaczęliśmy rozmawiać i Góral powiedział, że spada mu ciśnienie smaru...

Sarat przerwał nagle i zwrócił się do Lucy: — Do you know, what it means? — Yes, I know — powiedziała cicho. — Continue. — Więc mówił dalej, rozważnie dobierając słowa, jakby się wystrzegał, by nie przesadać; jakby to, że mówi o sobie, czy o swojej załodze, kępowało wrodzoną mu żarliwość opowiadania i plastykę opisu.

Dla nas, którzy znamy takie przeżycia z własnych doświadczeń, z własnych niepokojów, z odpartych przez każdego z nas szturmów strachu, przerażenia, czy nawet rozpacz — dla nas fakt, zawarty w tych kilku słowach: „spada ciśnienie smaru” — ma zupełnie inną wymowę, niż dla ludzi, którzy tego nie przeszli.

Nawet teraz, gdy piszę te słowa, wyraźają one z tekstu jak coś, w czym mieści się groźba, niebezpieczeństwo, utajona zawierucha fatalnych zdarzeń, których nie można objąć myślą, ale które przeczuwa się, o których się wie, że nabrzmiewają, zbliżają się, zawisają nad nimi.

„Spada ciśnienie smaru”... Nad Elbą, w samym środku Niemiec, o setki mil od Anglii, w nocy, na wysokości kilku czy kilkunastu tysięcy stóp. Na jak długo starczy tego smaru, który zapewne wycieka przez uszkodzony prze-

PORUCZNIK HERBERT

SARAT

wód lub z przestrzelnego zbiornika? Czy można będzie dolecieć do Francji? Czy tylko do Belgii albo do Holandii? Kiedy zatrą się silniki? Kiedy zwolnią, a potem staną rozpedzone łopaty śmigieł i cisza, poświstująca pędem, wedrze się do gondoli samolotu?

„Spada ciśnienie smaru”... Nie doleciez do bazy. Szczególnie odwracana wieżyczka tylnego strzelca; przedni przecisnie się ku wazowi w pokładzie i otworzy kłapę; gondola spełni się zinnym wichrem i załoga kolejno będzie skakać w ślad za tylnym strzelcem, który opada już ku ziemi, daleko za ogonem samolotu, zagubiony w mroku, sam — sam jeden! I ty będziesz sam. Zupełnie sam.

„Spada ciśnienie smaru”... Coś przecina wstęgę dni i spraw, wśród których żyłeś. Coś odgradza cię od wszystkiego ścianą nie do ominięcia, nie do przebicia, za którą pozostają: dziewczyna, która na ciebie czeka, zaczęta książka, list, który miałeś jutro napisać, niedokończona rozmowa i wszystko, w s t k o !, co było do tej chwili — urwane nagle, dalekie, nieosiągalne — przepaść na lata, albo na zawsze. Przed tobą jest noc i ponury świt o obcych, nowych, straszliwie nowych warunkach: w niewoli. Wszystko, o czym marzyłeś, wszystko, coś miał — zostało tam, daleko. Ze sobą zabierasz może tylko tęsknotę do tego, co już przedtem zostawiłeś w Polsce. Tęsknotę stokrotnie teraz większą, gorszą, trudniejszą od zniesienia.

Na to czekasz, usłyszawszy słowa: „Spada ciśnienie smaru”... Jak długo trzeba będzie czekać: godzinę? pół godziny? może dwie? — nie wiesz: I — nic na to nie można poradzić: tak być musi!

Sarat nie mówił o tym wszystkim. Zwracając się do Lucy zapytał tylko: „Czy pani rozumie, co to znaczy?” — i można było przypuszczać, że chodzi mu wyłącznie o angielskie znaczenie słów: „spadek ciśnienia smaru”.

Nie wracał już zresztą do tego, podobnie, jak nie starał się uprzytomnić Lucy znaczenia innych wypadków i innych słów, skąpych, odmierzanych na nasz użytek, a zawierających przecież treść nam tylko znaną do głębi. Mówił o tym, jak zdecydowali się przebyć największą część drogi nad lądem, aby uniknąć przymusowego wodowania na morzu Północnym. Jak przelecieli na południe od Zagłębia Ruhry i minęli Ren, ostrzeliwani wielokrotnie przez artylerię niemiecką. Jak wyszli na Liège, a stamtąd wzięli kurs na Calais.

Tu, już nad departamentem Nord, we Francji, zaatakował ich myśliwiec niemiecki. Pierwsze jego serie zapaliły prawy silnik, po czym lewy bądź zataił się z braku smaru, bądź został również uszkodzony.

Załoga wyskoczyła. Sarat skakał przed Góralem, jako czwarty.

I na tym się kończy to, co wiedziałem o nich wszystkich przez tych parę miesięcy — powiedział do Lucy po angielsku. — Bardzo byłam o nich niespokojny...

A oni sobie w bridge'a pogrywają — odezwał się ktoś głucho. Sarat nie od razu zrozumiał:

Kto — w bridge'a? Przecież oni... oni są tam.

Zrenice rozszerzyły mu się, jakby w przestrachu. Przygarbił się, skulił ramiona i nagle spojrzął szybko w stronę Lucy. Oczy ich spotkały się na ułamku sekundy i uciekły od siebie splotzone. Mięśnie Sarata, napięte przez chwilę, zwolniały. Coś, jak błąsk przypomnienia, przemknęło po zmarszczonym czole, przewinęło się po ustach, jak jakieś słowo pomyślane i omal nie wymówione, zatrzymało się w drgnieniu szczupłej ręki o długich, nerwowych plecach. Uśmiechnął się znowu samymi wargami i nagle powiedział:

Ach, naturalnie: grają. To tylko ja tak się bałem... To jest: mnie się udało, a oni...

Przerwał, pochylił się w przód, jakby czegoś wypatrywał na dywanie, zascieżającym podłogę przed kominkiem, i, nie podnosząc wzroku, opowiadał dalej, już tylko o sobie.

Sprawdził klamry spadochronu i rzucił się w czarną przepaść, huczącą wichrem, zwinęty w kłęb, z kolanami pod brodą i rękami skrzyżowanymi na piersiach, trzymając kurczowo rękojeść zwalniająca, żeby mu się gdzie nie przesunęła.

Natychmiast po skoku doznał uczucia gwałtownego pędu w górę: tegi, zwarty opływ powietrza, jak elastyczny hamak podłożył mu się pod plecy i obejmował go coraz silniej w miarę wzrastającego przyspieszenia. To uczucie nie ustępowało jeszcze przez parę sekund po szarpnięciu zwalniająca. Przez parę długich sekund, które potęgowały do kwadratu i sześciastu początkową niewielką sumę niepewności i obawy: czy spadochron rozwinie się prawidłowo?...

Zadartłszy głowę, usiłował zobaczyć, co się dzieje powyżej, za jego plecami, i właśnie dostrzegł w ciemności błąd smугę wywleczonej linki, gdy przyhamowało go i odwróciło nagle twarzą ku ziemi, czarniejszej niż niebo ponad nim. Pęd zwolnił, rozwinął się, uciekł — i Sarat usiadł sobie, że siedzi w dobrze dopasowanej uprząży, zawieszony — jak mu się wydało — nieruchomo w samym środku nocy, między niebem a ziemią. Wydało mu

się także, iż do tej ziemi jest chyba równie daleko, jak do gwiazd, które teraz widział poza obrebem wydętej czaszy spadochronu nad głową.

Mylił się jednak: ziemia była blisko. Ciemność pod nim zgęstniała raptem, i zanim zdążył podciągnąć się na linkach, aby złagodzić lądowanie, już zderzył się z nią gwałtownie, jak brutalnie rzucona kłoda.

Chciał się zerwać natychmiast, chciał biec, uciekać nie wiadomo dokąd, ale był tak słaby, że zaledwie z trudem powstał. Pierwsze stąpienie powaliło go zresztą z powrotem na ziemię: rwący, głęboki ból w stopie obezwładnił go całkowicie, przenikając nagle przez cały układ nerwowy aż do mózgu, jak prąd elektryczny. Myśl, spięta tym prądem, błysnęła jasno i ostro:

— Złamałem nogę!

Poczuł krople potu na czole, duszność i młodość. Coś jak szpony wpiło mu się pod żebra, sięgnęło do trzewi, do piersi, pod gardło.

Kto inny na jego miejscu pomyślałby chyba, że umiera. Ale Sarat powiedział:

— Pomyślałem, że trzeba działać spokojnie i systematycznie: musiałem, rozumiecie, odpocząć, bo się trochę zdenerwowałem.

Odpoczywał więc, powoli odpinając i zwinając spadochron, a wreszcie wstał znowu i zaczął próbować: jak stapać, żeby najmniej bolało. Doszedł do wniosku, że ma pękniętą kość pomiędzy wielkim palcem a stawem stopy, i — kuszątkając na pięcie — powlókł się polami w stronę zarośli, które czerniały na pagórku, widocznym na tle nieba.

Nie myślał, co będzie dalej, nie miał żadnego planu, nie powziął żadnego postanowienia. Szedł tam, instynktownie szukając ukrycia, jak ranne zwierzę, tropione przez psy. Chciał zasyć się w krzakach, nie widzieć otwartej przestrzeni, która wydawała mu się teraz wroga i niebezpieczna. Chciał mieć dokoła siebie, blisko, gałęzie i drzewa, żeby tam, wśród nich, chociaż przez chwilę mieć złudzenie, że nie wypatrzą go natychmiast, że to, co ma nastąpić, odlecie się na godzinę, na pół godziny, na wtedy gdy będzie silniejszy, gdy będzie w stanie myśleć, rozumować, bronić się. — Jak? — Czym? — W jaki sposób i pogo? — nie wiedział. Kierował nim instynkt; silniejszy niż ból, silniejszy niż on sam. Instynkt: to, co pozostaje w człowieku pobitym, obezwładnionym, skazanym nieodwołalnie na klęskę; w człowieku, któremu odebrano możliwość walki i wszelką nadzieję ucieczki; w człowieku osaczonym, samotnym i w dodatku — rannym.

Wlókł się przez jakieś warzywniki, rzyska i role, jęcząc z bólu, ze wzrokiem, utkwionym w owe zarośla, i wspinał się pod górę, jakby tam rzeczywistość czekała go bezpieczne schronienie. To był jedyny cel; to było tymczasem wszystko, czego chciał: dostać się tam; tam uisnąć.

Dopiero gdy wchodził między drzewa i krzaki, pomyślał:

— Wyłamię sobie kij: będę się mógł podierać, idąc jutro dalej.

I wtedy nagle zdał sobie sprawę z całej beznadziejności tego zamiaru. — Jutro? — Przeraźliwie jasno uświadomił sobie w skrocie, gdzie jest i co się dzieje, lub co się znacznie dłać lada chwila: departament Nord; Francja; garnizony niemieckie, policja, żandarmeria, telegraf, telefon, motocykle i samochody, patrol, poszukiwania; „jeden z członków załogi polskiego Wellingtona jest w tej okolicy”.

Zwinięta płachta spadochronu wyśliznęła mu się z rąk. Popatrzył na rozpełzły ślisko łomok jedwabiu, bielejący u jego stóp i — ostatecznie wyczerpany — osunął się na ziemię.

*

Nie umiałby powiedzieć, czy spał. W każdym razie — nie myślał przez resztę tej nocy, a pierwszym bodźcem zewnętrznym, który wyrwał go ze stanu odrętwienia, był rzyg krów i szczekanie psa. Wtedy stwierdził, że jest widno i — zimno. Zaraz potem usłyszał głos i rozpoznał słowa francuskie, jakkolwiek po francusku mówił słabo. To chłopak, gnający krowy, nawoływał psa i przemawiał do jakiejś Petronelle. Petronelle odpowiedziała przeciągłym rykiem i omal nie nadepnęła na Sarata, a pies zaczął ujadać i warczeć w sposób wyraźnie wrogi.

Wtedy ukazał się chłopak. Dostrzegł obcego i stanął jak wryty z otwartymi ustami.

Sarat od razu przystąpił do rzeczy i wyjaśnił, skąd się tu wziął. Ale tamten zdawał się nie rozumieć. Stał i gapił się, nie nie mówiąc.

— Pomóż mi — powtórzył Sarat, jak mógł najwyraźniej. — Potrzebne mi jest ubranie. Cywilne ubranie, rozumiesz?

Chłopiec obejrzał się. Od strony drogi, z tyłu stęchał było turkot wolno jadącego wozu.

— Ja nie mogę — powiedział nagle. — Tu są Niemcy. Wszędzie są Niemcy...

Sarat spojrzął również ku drodze i zobaczył dwukółowy wóz chłopski w jednego konia.

— Kto to jedzie? — spytał z niepokojem.

— Madame Carotte, wdowa po mleczarzu. Bonjour, madame Carotte! — zawołał postępując ku drodze i oglądając się niepewnie, czy człowiek z krzaków go nie ściga.

— Bonjour, Pierre — odrzekł gruby, prawie męski głos. — Qui est là?

W R A C A

Wóz stanął, Sarat zaś podniósł się i rozchylił gałęzie. Tęga, rumiana kobieta w szomkowym kapeluszu na ciasno zwiniętych szpakowatych włosach wychylała się z siedzenia i przyglądała mu się bacznie.

— Kto to jest? — zwróciła się znów do chłopca.

— Bo ja wiem? Tu leżał w krzakach. Mówi, że jest lotnikiem. Że Niemcy go zestrzelili. Ubranie chciał ode mnie kupić, ale przecie ja nie mam ubrania na sprzedaż, więc...

— Madame Carotte zżawo zeskoczyła z wozu i — rozejrzawszy się na wszystkie strony — podeszła bliżej.

— Pan jest angielskim lotnikiem?

Sarat powiedział, że jest Polakiem i że służy w polskim dywizjonie bombowym w Wielkiej Brytanii. Ofiarowywał pieniądze i swój piękny skórzany kombinezon w zamian za stare ubranie, którego by mu dostarczono.

Ale wdowa po mleczarzu nie chciała o tym słyszeć:

— Nie, nie, nie! Mon Dieu — to grozi rozstrzelaniem... Rozumie pan? Fusillement!... Nie mogę. Niech pan stąd odejdzie. U nas we wsi są Niemcy. U mnie w domu, Niech pan stąd idzie!

— W mundurze? — zapytał Sarat. — To już najlepiej pójdę wprost do pani domu. Przeraziła się.

— Co?! Dlaczego do mnie?! Ja pana nie znam. Ja nie wiem. Ja...

Bezradnie drepłała w miejscu, nie mogąc zdecydować się, by odejść, a widocznie obawiając się pozostać tu dłużej, oko w oko z tym niebezpiecznym człowiekiem, który mógł sięgnąć nieszczęście na jej głowę.

— Więc dobrze — powiedziała wreszcie. — Przysięgłem panu ubranie. Ale to, co pan ma na sobie, trzeba ukryć i — Bon Dieu! Spadochron!! Tego tylko jeszcze brakowało...

Sarat spojrzął z uśmiechem na bielejącą poza nim płachtę.

— I am sorry... — zaczął. — Je vous demande pardon — poprawił się swoją niezgrabną francuszczyzną; — widzi pani: skacząc bez spadochronu, bardzo łatwo można się zabić...

Veuve Carotte nie zareagowała na tę subtelną ironię. Postanowiła działać, i to działać szybko. Siadając na wóz, wydawała ostatnie polecenia, jak dowódca swoim podkomendnym:

— Niech pan zwinie w to parę kamieni i dobrze zwiąże. Pierre, zabierz ten pakunek i wrzucisz do rzeki pod tamtym brzegiem. Tylko żeby nikt nie widział. I — ani słowa, rozumiesz? Ja tu zaraz przysiężę dziewczynę z ubraniami i coś do jedzenia. Więcej nie dla pana nie możemy zrobić.

Sarat odpowiedział, że o nic więcej nie prosi i że bardzo, bardzo dziękuje.

— I tak się zaczęła moja wędrówka — mówił teraz wolno, podnosząc wzrok od dywanu i spoglądając po naszych twarzach. — Druga, bolesna wędrówka ze złamaną stopą, która za każdym krokiem zdawała się pękać na nowo. Postanowiłem, że nie dam się schwytać Niemcom; że wrócę do Anglii, bo...

Urwał nagle, jakby powstrzymując się w ostatniej chwili od wyjawienia wobec nas — dlaczego powziął to postanowienie. Wobec nas, czy może tylko wobec Lucy?... W jego zachowaniu się, w jego sposobie opowiadania, w tych niedokończonych zdaniach, w ucieczkach jego wzroku przed jej wzrokiem było coś dziwnego. Coś, czego nie mogłem zrozumieć. Coś, jakby obawa, żeby nie powiedzieć za wiele o własnych myślach; o tym, co działo się w nim samym. Jakby chęć ograniczenia tej opowieści do zdarzeń i faktów zewnętrznych, bez ukazywania pobudek i doznań, myśli, wahań, walk, upadków, a przede wszystkim tego wewnętrznego nakazu woli, któremu zawdzięczał, że wrócił.

Kilkakrotnie podkreślał, że „miał szczęście”. Widocznie chciał ją przekonać, że okoliczności składały się dla niego szczególnie pomyślnie, czemu zresztą przeczyły fakty, które podawał później. Może sam myślał, że Góral zbyt łatwo, bez walki, bez próby ucieczki poddał się swemu losowi. I — być może — nie chciał, aby Lucy też tak o Góralu myślała. A może po prostu poczuł solidarność z załogą krepowało go wobec nas? Oni zostali, bo nie mieli szczęścia: zapewne schwytano ich natychmiast po lądowaniu. Nie nadarzyła im się żadna sposobność; los nie dał im żadnej szansy, nawet tak niewielkiej jak jemu. On — wrócił i trochę wstydził się tego szczęścia, którego reszta załogi mogła mu zazdrościć.

Mówił tak, jakby się usprawiedliwiał, że tu jest z nami, a jednocześnie — jakby chciał usprawiedliwić Górala, że wrócił nie zdołał.

Obaj pochodzili z gór. Góral — spod Nowego Targu; Sarat, lub raczej jego przodkowie, gdzieś z południa Europy — z Gruzji, z Czarnogórze, czy może z Kaukazu. Obaj zapewne ponad wszystko cenili wolność. Obaj wybraliby największe niebezpieczeństwo, podjęliby największe ryzyko, aby uniknąć niewoli. Sarat miał możliwość takiego wyboru; Góral — nie. Ale Sarat nie chciał również, aby Lucy uświadomiła sobie w pełni, czym jest niewola dla Górala; sobie byłaby dla niego samego. Dlatego zapewne pozostawił bez komentarzy

powiedzenie któregoś z kolegów, że tamci w niewoli „pogrywiają sobie w bridge'a”, choć zgoda inaczej o tej niewoli myślał, choć bał się jej bardziej niż śmierci, choć wytrzymał to wszystko, byle jej uniknąć, zdobywając się na wysiłek niemal nadludzki i — inaczej — zupełnie niezrozumiały...

Siedział przez wiele dni drogami na południowy zachód, nuciąc najciszej pod gołym niebem, bo mało kto zgadzał się przyjąć go pod swój dach. Wobec Niemców udawał Francuza, inwalidę wojennego niepełna rozum, powracającego do domu. Ale za słabo władał francuskim, aby to stosować wobec policji miejscowej. Nie miał żadnych dokumentów, więc unikał miast, ale w końcu musiał do jakiegoś miasta wstąpić, bo stopa siniąła, puchła i dokuczała mu straszliwie.

Na małej stacyjce wsiadł do pociągu. Na próżno szukał przedziału, w którym nie byłoby Niemców, i w końcu musiał zająć jedyne wolne miejsce obok dwóch żołnierzy niemieckich, rozpartych niedbale między stoczonymi cywilami. Starą się nie zwracać na siebie uwagi i udawał, że drzemie, myśląc przy tym, co odpowie, jeśli ktokolwiek z rozmownych Francuzów o coś go zagadnie. Układał sobie francuskie zdania i z niepokojem zauważał, że wciskają się do nich wyrazy angielskie. Nawet krótkie „przepraszam” i „dziękuję”, nawet „tak” i „nie” podsuwały mu się po angielsku. Każde z tych słów mogło go zdradzić, nie mówiąc już o cudzoziemskim akcencie jego słabej francuszczyzny. Postanowił więc milczeć, odzywać się tylko w ostateczności, udając na pół głuchego.

Żołnierze rozmawiali o minionych „dobrych czasach” i o obecnych działaniach lotnictwa Sprzymierzonych nad Niemcami i nad Francją. Kilkakrotnie wspominali o Polsce, gdzie im się tak dobrze powodziło; gdzie tyle mieli jedzenia...

— Teraz tam jest bardzo niebezpiecznie — powiedział jeden z nich. — Ci przekleci Polacy zabijają spokojnych Niemców. Zwłaszcza urzędników, i to najlepszych ludzi Führera...

Sarat dojechał na miejsce, szczęśliwie uniknąwszy rozmowy, wysiadł i — wyszedłszy z dworca — nie wiedział, co poczynić. Był głodny, zmęczony, obolały, przemierzony. Miał bardzo niewiele pieniędzy i nie mógł sobie pozwolić na obiad. W jakiejś kawiarni wypił szklankę mętnej, zjeżdżałej kawy i rozgrzał się trochę, a potem zapytał usługującą dziewczynę, gdzie mógłby znaleźć lekarza.

Wzruszyła ramionami:

— W szpitalu. Szpital jest na Rue de la Republique.

Poszedł tam, dopytując się o drogę. Ale szpital był zajęty przez Niemców. Zawrócił więc sprzed wejścia i włóczył się po ulicach, szukając lekarza prywatnego.

Na drzwiach jakiegoś domu znalazł wreszcie mosiężną tabliczkę:

„DR. R.... Przyjmuje od czwartej do ósmej”.

Wszedł na schody, zadzwonił. Otworzyła mu pokojówka w białym czepeczku i w kokietyrjnym fartuszu z koronką. Czysta, elegancka, nieomal — wykwininta.

— Pan ma zamówioną wizytę?

Powiedział, że nie, ona zaś spoglądała na niego podejrzliwie i wyniośle.

— Pan doktor musi mnie przyjąć — oświadczył, pokonując oniesmielenie i upokorzenie. — Mam złamaną kość w stopie. Proszę mnie zameldować.

Lekarz rozmawiał z nim niechętnie. Nie chciał w ogóle zbadać tej jego stopy:

— Niech pan idzie do szpitala.

Sarat zdecydował się. Powiedział, kim jest i dlaczego tu przyszedł. Ale to wywołało jeszcze większą niechęć doktora:

— Mój panie, cóż ja na to poradzę? Nogę trzeba prześwietlić, unieruchomić kość, no i — musi pan leżeć. Od tego jest szpital...

Drzwi zamknęły się za Saratem. Od wewnątrz zachrobotał łańcuch. Doktor mówił poirytowanym głosem do pokojówki:

— ...i proszę takich pacjentów nie wpuszczać! Jeszcze mi tu policję albo gestapo ściągnie.

Na dworze padał deszcz ze śniegiem. Zimny wiatr hulał po wydłubionych ulicach. Sarat siedział, utykając, i nie wiedział, co ma począć dalej.

Trzeba było gdzieś przenocować. Myślał o tym niemal z rozpaczą, spoglądając na światła zapalające się w oknach domów i natychmiast przysłanianie skrajnymi ścianami. Zobaczył policjanta, więc skrzyknął w jakąś przeciecznicę i niespodzianie natknął się na wojskowy patrol niemiecki. Omal nie rzucił się do ucieczki.

Ból w nodze zreflektował go. Minał żołnierzy, którzy zresztą nie zwrócili na niego uwagi, i szedł dalej, coraz wolniej, coraz bardziej zrezygnowany, coraz dotkliwiej odczuwając swe osamotnienie i beznadziejność tej pieszej wędrówki ze złamaną stopą.

Marzył o łożku, o czystej pościeli, o ciepłej wannie i odpoczynku pod dachem, wśród czterech ścian, w przyjaznym otoczeniu domowych sprzętów, gdzie choć przez jedną noc mógłby się czuć bezpieczny.

Z uporem czepiał się myśli, że przecież ktoś mu wreszcie pomoże. Że zdoła otrzymać

jakieś dokumenty, że znajdzie jakiś przytułek i będzie mógł podleczyć tę nogę, która teraz, poowijana szmatami, puchła potwornie i sprawiała mu niewypowiedziane cierpienia.

Przystawał, spoglądał na nią bezradnie, i — gnany obawą, że zwraca uwagę policji lub niemieckich patroli — włókł się dalej. Wiedział, że w mieście obowiązuje godzina policyjna. Wiedział, że musi spędzić noc w ukryciu, i daremnie szukał, rozglądał się, błądził, aby wśród obcych ulic i domów znaleźć schronienie do rana.

Wreszcie na rogu jakiegoś placu w zapadającym zmroku zauważył znak Czerwonego Krzyża, wymalowany w oknach pierwszego piętra. Przekonawszy się, że jest to Czerwony Krzyż francuski, postanowił tam pójść.

W korytarzu spotkał młodą pannę, która właśnie szła ku wyjściu. Gdy zwrócił się do niej o pomoc i powiedział, o co mu chodzi — zaprowadziła go do siostry dyżurnej, bardzo przejęta jego losem. Od razu nabrała do niej zaufania i pozbył się natychmiast tego oniesmielenia, które ogarniało go teraz szczególnie wobec młodych, czysto ubranych kobiet.

Siedząc w wygodnym fotelu, odpowiadał na pytania ich obu, nie wyjawiając jeszcze, kim jest naprawdę. Mówił, że był w niewoli i że go zwolniono. Że wędruje do krewnych w południowej Francji. Że stracił wszelkie dokumenty, a jako Polak woli unikać spotkania z policją lub z władzami niemieckimi.

Nie spodziewał się wcale, że to ostatnie wyznanie może go zgubić. Zauważył wprawdzie, że kobiety wymieniły między sobą szybkie spojrzenie, ale przypisał to obudzonemu ich współczuciu. Dopiero gdy starsza, siwiejąca już siostra dyżurna zapytała chłodno, czy rzeczywiście nie mógłby wylegitymować się wobec władz niemieckich — pojął, że nie może liczyć na daleko idącą pomoc z jej strony.

Instynktownie zwrócił się do młodszej, szukając u niej poparcia. Mówił teraz gorąco, śpiesznie, by mu nie przerwano, zanim zdoła przedstawić swoje rozpaczliwe położenie. Prosił o przytułek. Bodaż o nocleg. Ona zaś zdawała się być wzruszona i — jakby szukała w myśli sposobu, jak spełnić tę prośbę.

Wtedy starsza pochyliła się ku niej i zaczęła coś mówić szeptem. Potem wstała.

— Dam panu kupony do jadalni — powiedziała, idąc ku drzwiom. — A co się tyczy noclegu...

— Mais non, mais non, Suzanne! — zawołała za nią młodsza. — Nie można tak...

Zawahała się jakby, wstała szybko i wybiegła za tamtą.

Sarat jeszcze nie zupełnie rozumiał, o co im chodzi, ale obudzony instynkt ostrzegł go o niebezpieczeństwie: nie można było ufać tej drugiej kobiecie.

Zbliżył się do drzwi i nasłuchiwał. Z sąsiedniego pokoju dochodziły podniecone głosy. Po chwili — jak mu się zdawało — siostra dyżurna zaczęła rozmawiać z kimś przez telefon. To zaniepokoiło go tak dalece, że wymknął się na korytarz.

Nie zdążył jeszcze domknąć pocichu drzwi, gdy następne otworzyły się gwałtownie. Dziewczyna, którą tu spotkał wchodząc, chwyciła go za rękaw.

Szarpnął się w tył, zaskoczony. Ale ona powiedziała przedko:

— Niech pan stąd idzie. Niech pan ucieka, tędy!

Wskazała mu drogę do innej klatki schodowej.

— I niech pan to weźmie — sięgnęła do torebki.

Poczuł, że wciska mu w dłoń pieniądze.

— Przedko, przedko — nagliła, gdy się zawała. — Tu przyjdzie policja.

Machinalnie wsunął banknot i srebro do kieszeni i odszedł bez słowa.

Namacał w ciemności poręcz i schody. Chroniąc, ile się dało, opuchłą stopę, wy dostał się na ulicę i ruszył przed siebie — w mrok.

— Ta przygoda odstraszyła mnie na kilka dni od miast i od ludzi — powiedział, poprawiając się w fotelu. — Z początku byłam nią wzburzona i zlorzeżyłem owiej starszej siostrze. Później doszedłem do wniosku, że — coż chcecie — ona tylko ratowała siebie i ten oddział Czerwonego Krzyża przed ryzykiem, przed niebezpieczeństwem, jakie mogłem na nie sprowadzić. Dla niej wojna była dawno skończona i — należało jakoś żyć; należało pomagać innym, ale tylko o tyle, o ile to nie stwarzało konfliktu z władzą; pomagać tylko tym, którzy się tej władzy poddali. A ja... Sami rozumiecie... Szedłem znów na południe i na zachód. Szedłem coraz wolniej, bo każdy krok opłacałem bólem. W końcu znów pojechałem do miasta. Do inności małego miasta, daleko na południu, gdzie można było w powietrzu wyczuć stony powiew wicherów znad Zatoki Biskajskiej, od Atlantyku. Przed rokiem nie było tam jeszcze Niemców. Gdybym się był tam wówczas znalazł... No, ale teraz — teraz Niemców było pełno; wszędzie! Tropili mnie. Przynajmniej tak mi się zdawało. Otaczała mnie zewsząd nie pewność, ciągła obawa aresztowania, stała, niezmienna atmosfera niebezpieczeństwa. Ocierałem się nieustannie o policjantów i o żandarmów. Nie mogłem odpocząć, nie mogłem uisnąć na ławce, przystanąć pod murem, ogrzać się w biostro, aby nie ujrzeć po chwili podejrzanego osobnika, który wydawał się być agentem gestapo. Wyobrażam sobie, że sam wyglądałem dostatecznie podejrzanie, aby zwracać na siebie ich uwagę. Ale najgorsze ze wszystkiego było chyba to, że noga szczytna mi aż do kolana i bolała coraz bardziej. Bałem się ludzi, nauczony już gorzkim doświadczeniem, ale przecież musiałem szukać

ich pomocy, bo czułem, że sam zginę. I znów omal nie wpadłem. To było właśnie w tym miasteczku. Zobaczyłem otwarte kościoły i wszedłem tam, żeby choć trochę odpocząć — i fizycznie i nerwowo. „W kościele — myślałem — nikt mnie nie będzie ścigał”. Było niewiele osób i — półmrok. Nikt na mnie nie patrzył. Mogłem przysiąść na stopniu pod ścianą bocznego ołtarza i — odetchnąć. Tak: poczułem się przez chwilę bezpieczny. Ale to rozkleiło mnie zupełnie: po raz pierwszy od kilku tygodni nic mi nie groziło. Nie musiałem mieć się na baczności, nie trzeba była strzec się ciękawych ludzkich spojrzeń, nie trzeba było przygotowywać odpowiedzi na pytania, udawać głuchego i niepełna rozum. Mogłem przez chwilę być sobą. Uświadomiłem sobie to wszystko i natychmiast ujrzałem całą swoją nędzę, wszystkie upokorzenia, daremne wysiłki i cierpienia. Próbowałem się modlić, ale zamiast tego zacząłem beczeć. Rozzaliłem się tak nad swoim losem, że... To, naturalnie, nerwy. Pofolgowałem sobie, jak nigdy w życiu. Ale — pomogło. Uspokoilem się i — dzwina rzecz — nabrałem jakoś otuchy. Pomyślałem, że jeśli dotąd mnie nie złapali, jeżeli udało mi się przeżyć tyle czasu i przebyć tyle drogi, to przecież przebędę jeszcze te sto pięćdziesiąt kilometrów do granicy, a tam... tam już wszystko wydawało mi się łatwe i proste. Tylko ta stopa... Stopa przypominała mi o sobie pulsującym bólem, który sięgał coraz wyżej i wyżej, rozpalając mi ciało gorączką. Gangrena — oto czego się bałem. Tok myśli przerwał mi dzwonek na podniesienie. Usłyszałem nosowy głos księdza: „Dominus vobiscum...”, potem zaś — organy. Rozejrzałem się: kogo poprosić o pomoc? — Tego starszego pana ze wstążeczką Legii Honorowej? A może tę dziewczynę, która się tak rozgląda? — Nie: pewnie tu na kogoś czeka. Więc — tego pana. Tylko — jak zacząć? Co powiedzieć?...

Ogarnął nas pytającym spojrzeniem i nagle zmieszał się nie wiadomo dlaczego.

— Dajcie-no papierosa — powiedział, jakby ze zniecierpliwieniem. — Tam nie paliłem prawie wcale — zauważył, sięgając do wyciągniętej przez kogoś papierosnicy. — Dopiero w Gibraltarze...

Lucy mu przerwała:

— Co było dalej w tym kościele?

— W kościele? — powtórzył niechętnie. — E, nie.

Ale uparła się, żeby opowiedział szczegółowo, więc mówił dalej, starając się omijać wszystko, co nie dotyczyło samych tylko zdarzeń. Zamknął się znowu i widocznie pilnował się teraz, by nie zboczyć na tory dygresji uczuciowych ze szlaku opowiadania o faktach.

Jednak to, z czym zdradził się, mimowoli uprzytomniając sobie przebyte cierpienia, wymykało się i teraz spod jego kontroli. Spoza faktów wyzierały myśli i uczucia, którymi się kierował. Wyłaniała się inna opowieść, jak wyłaniają się zwolna tu i ówdzie półcienie i szczegóły drugiego planu na kliszy ostrego zdjęcia fotograficznego w pełnym słońcu, gdy podziałają na nią odczynniki chemiczne.

Myślę, że obrazy tej jego opowieści tak właśnie nabierały miękkości półtonów i tak występowały w szczegółach, przetrwawione w umysłach niektórych z nas. Z pewnością tak właśnie widziała jej Lucy, usiłując zresztą nie okazywać tego po sobie. Lucy, która myślała o Góralu...

Sarat mówił, że zdecydował się dopiero przed samym kościołem nabożeństwa. Dojrzał pogrążoną w modlitwie siwą panią w żalobie Pomyślał, że zapewne straciła syna albo męża i że ta okoliczność ułatwi mu — być może — pozyskanie jej współczucia i zrozumienia. Nie chciał jednak narzucać się jej, póki nie wstała i nie skierowała się ku wyjściu. Wówczas podszedł nieśmiało i powtórzył to, co mówił już tyle razy innym ludziom:

— Przepraszam panią. Czy pani mogłaby mi dopomóc? Jestem lotnikiem. Mam złamaną stopę...

W odpowiedzi ofiarowała mu parę sous, a gdy nie chciał przyjąć i nalegał, by go wysłuchała — zagroziła mu policją.

Nie znalazł w mieście noclegu. Nie jechał nie od rana, bo miał w kieszeni tylko bilet kolejowy, za którym tu przyjechał, i — gdy uspokoił się trochę — żałował, że nie przyjął jałmużny.

Powłócił się na dworzec, aby przenocować w zatocznej, ciemnej poczekalni, i próbował zasnąć, oparłszy się w kącie na cudzym worku kartofli. Porzuciwszy myśl o wypoczynku, o ratowaniu nogi przed amputacją i o uzyskaniu czyjejkolwiek pomocy — zastanawiał się, jak dotrzeć do granicy. Wiedział, że pieszo nie dojdzie. Bał się zebrać, bo łatwo mógł zostać za to aresztowany. Mógł zaryzykować tylko raz: ukraść...

Sam zdziwił się, że tak spokojnie przyjął tę myśl. Odrzucił ją natychmiast, ale — wracała. Coraz realniejsza; coraz bardziej natrętna, uporczywa, nie do odpędzenia. Próbował jeszcze z nią walczyć, ale już z góry wiedział, że przegra: zaczął paktować z własnym sumieniem, skłaniał się już ku argumentom, które wiodły do kompromisu: „pożyczę, oddam później”...

Rozejrzał się po sąsiadach: kto może mieć pieniądze?

Obok niego spała jakaś kobieta, obejmując przytuloną do niej dziewczynkę. To był ich worek z kartoflami. Wyglądały biednie, nieomal nędznie.

Na lewo przy stole, o brudnym, lepkiem blacie, siedzieli dwaj robotnicy: stary i młody — zapewne ojciec i syn. Stary chrapał przeciągle; młody budził się co chwila, unosił głowę, opartą o ramiona, wyciągnięte przez

całą szerokość stołu, i rozglądał się, ziewając. Dalej — chudy, szpakowaty mężczyzna w czarnym surducie, wyglądający na księdza. Jakieś małżeństwo, zapewne drobny urzędnik z prowincji z brzydką, zwiędłą przedwcześnie małżonką. Samotna młoda dziewczyna, o strapionej, głupawej twarzy, z wyskubanymi brwiami. Blady, o ziemistej cerze chłopak z garbatą kobietą, która cmiła straszliwie cuchnący tytoń, związając go wprawnie w bibułki. Kilku chłopców z wielkimi tobołami; jakiś młodzieniec w wyświeconym palcie; jacyś wyrobnicy; przekupki; handlarze... z

— Kto może mieć pieniądze? — myślał Sarat.

Tak był zajęty tą myślą, że nie zwrócił uwagi na równy, zbliżający się z zewnątrz odgłos kroków kilku ludzi w podkutych gwoździami butach. Dopiero głośna komenda: „Patrol — halt!” poderwała go nagle, jak wybuch petardy.

W tej samej chwili drzwi szczęknęły, zakrzykiwały w zawiasach i od progu błysło światło latarki.

— Ausweiss und Fahrkartenkontrol! Schnell, bitte.

Chlusnęło ukropem strachu. Nie było czasu do namysłu, nie było drogi ucieczki, nie było żadnej kryjówki, nie było ratunku.

Sarat udawał, że śpi. Wiedział, że to nic nie pomoże. Wiedział, że zostanie aresztowany. Ale — chciał odwieść chwilę jak najdalej, aby choć trochę ochłoniąć, aby uspokoić gwałtowny łomot serca i odzyskać zaparty oddech. (— „Jak wtedy, zaraz po wylądowaniu na spadochronie” — powiedziała Lucy. — „Jak wtedy?” — potwierdził, nie patrząc w jej stronę).

Słyszał, jak żandarmi zbliżali się ku niemu; słyszał półgłosne rozmowy Francuzów i szorstkie pytania Niemców.

— Margot! Écoute, Margot!
— Qu'est-ce qu'il-y-a?
— C'est le contrôle. Ou as tu ton passeport?

Młody robotnik usiłował obudzić ojca:
— Le gendarme bosch demande les documents, papa...

Któryś z Niemców dosłyszał owo „bosch”. Rozległ się cios kolbą karabina i krzyk, który umilkł natychmiast. Żandarmi wywlekli nieprzytomnego na ulicę...

Ktoś szarpnął Sarata za ramię.
— Sie, hören sie mal! Ihre Ausweiss?
Sarat udał oburzenie:
— Jaki znów paszport?!

Mówił prędko, z całą pewnością siebie, na jaką potrafił się zdobyć w tej decydującej chwili, słusznie przypuszczając, że żandarmi znają tylko po parę słów francuskich i że wezmą go za Francuza. Gestykulując żywo, oświadczył, że przecież zgłosił się w ich urządzie do pracy w Argelles i został przyjęty. Właśnie czeka na pociąg. Jeździł tam już kilkakrotnie, ale nikt mu nie kazał nigdy zabierać paszportu!!

Niemieccie istotnie rozumiały piąte przez dziesiąte.

— Was sagen sie? Argelles? Wo haben sie ihre Fahrkarte? Billet?!

Naturalnie; to było do przewidzenia: zapytają o bilet...

Ociągając się, szukał po kieszeniach. Tymczasem pozostali żandarmi wyprowadzali jeszcze księdza i młodzieńca w wytartym płaszczu. Wyjścia na peron strzegł żołnierz z bagnetem na karabinie. U drzwi od ulicy stali dwaj inni z pistoletami automatycznymi w rękach.

Żandarm niecierpliwił się. Nie było sensu udawać, że bilet „gdzieś się zapodział”, skoro w ogóle się go nie miało. Sarat zamierzał już zrezygnować, gdy namacął w kieszeni przypadkiem zachowany bilet, za którym tu przyjechał rano. Mimowiednie wzruszył ramionami, zdając sobie doskonale sprawę, jak bardzo naiwnego wybiegu się chwytą, ale wyciągnął ów bilet i podał Niemcowi.

Ten spojrzął, świecąc sobie latarką, mruknął coś pod nosem i skierował światło na twarz Sarata.

— Kommen sie mit — powiedział ostro. Sarat pomyślał, że teraz wszystko ostatecznie przepadło. Wiedział, że już nie zdola uciec, bo nawet jeśli wymknąłby się jakimś cudem w drodze, wytrapią go zaraz, ponieważ nie ujdzie daleko z tą swoją nieszczęsną nogą jak kłoda. Wstał i popychany przez żandarma pokulał ku drzwiom.

Podoficer z jego biletem w ręku skinął na żołnierza, który stał u wyjścia na peron. Przeszli przez główny hall, lecz — zamiast w stronę schodów wejściowych — skierowali się ku drzwiom w głębi.

Sarat dostrzegł nad nimi napis: „Chef de gare” i wszedł do środka za żandarmem. Zanim wzrok jego oswoił się ze światłem, usłyszał pytanie po niemiecku:

— Pan jest zawiadowcą stacji?
— Tak. O co chodzi?
— Ten człowiek mówi, że jeździ stąd na robotę do Argelles. Tu jest jego bilet...

Sarat spojrzął obojętnie na urzędnika we francuskim uniformie, który teraz trzymał w ręku ten jego bezwartościowy bilet, jak spogląda się na zegar, wiedząc z pewnością, która jest godzina.

Wtem, zanim Francuz zdolał odpowiedzieć, ktoś otworzył drzwi.

— Herr Feldfebel, melde gehorsam...
— Czego tam znowu?! — wrzasnął żandarm.

— Lieutenant Müller chce pana widzieć.
— Dobrze. Zaczekasz tu. Tu wewnątrz! Zaraz wrócę. Do tego czasu ten tutaj ma zostać. Verstanden?
— Zum Befehl!

Żołnierz z karabinem rozkraczył się u drzwi. Zawiadowca powiedział półgłosem do Sarata:

— Pan ma bilet do tej stacji... Kto pan jest?

Sarat nie miał już nic do stracenia. W kilku śpiesznych urywanych zdaniach zamknął to, czego nie powiedziałaby Niemcom. Nie zauważył nawet, że mówi na pół po angielsku, na pół po francusku. Nie panował już nad nerwami: przez niedomknięte drzwi słyszał było rozmowę między żandarmem a lautenantem.

— ...Ja wohl, Herr Lieutenant, jawohl...
— Argelles? — spytał nagle zawiadowca.

Sarat skinął głową:
— Argelles...

Stempel szczęknął raz i drugi.

— Bon voyage — uśmiechnął się zawiadowca. — Et — bon chance.

W tej samej chwili żandarm wrócił.

— Na, was ist loss? Zna pan tego człowieka?

— Znam — powiedział urzędnik. — To inwalida wojenny. On jeździ do Argelles na robotę. Bilet jest w porządku.

— O której ma pociąg?

— Za dwie godziny. On tu zawsze nocuje, bo po dziesiątej nie wolno chodzić po mieście.

Żandarm jeszcze się wahał, ale widocznie śpieszył się i chciał z tym skończyć.

— Właściwie powinien mieć przepustkę — mruknął. — Ciągłe jeszcze nie umiecie nauczyć waszych ludzi porządku.

Obejrzał się na żołnierza z bagnetem.

— Odprowadź go do poczekalni, Heinrich. Schnell. Będę czekał przy samochodzie.

— Dojechałem do Argelles — mówił Sarat, gasząc niedopałek papierosa. — Dojechałem do Argelles i myślałem, że w ciągu dwóch

lub trzech dni zdołam przejść zieloną granicę. Ale — — Pireneje — — ponad 3.000 metrów z tą moją nogą... Nie przebywa się Pirenejów tak łatwo, nawet gdy się jest w pełni sił. A ja zdychałem z wyczerpania, z gorączki, z zimna, z głodu, i — byłem naprawdę inwalidą... Eh, co wam będę opowiadał! Dopiero tam zrozumiałem, na com się porwałem. Gdybym to rozumiał od początku... No, mniejsza z tym. Argelles... Nie, to nie miał być ostatni etap. Zupełnie gdzie indziej spotkałem tych dwoje Francuzów, którzy mi pomogli. Dwoje ludzi, którym zawdzięczam to, że mam całą nogę. Spotkałem ich w tydzień po przybyciu do Argelles. Nie wszystko pamiętam z tego tygodnia. Miałem, wiecie, bardzo dużą gorączkę i... właśnie: zdychałem. Na śmietnikach, pod płotem — jak pies. Bardzo mało w człowieku zostaje wtedy z tak zwanej duszy, czy jak tam chcecie. Jeśli nie kradłem, to zapewne dlatego, że już nie miałem sił. Jeśli nie zdechłem, to nie dzięki własnej zasłudze. Człowiek, widzicie, jest inteligentnym zwierzęciem. Nakazy woli, hamulce moralne, wartości duchowe — wszystko to gdzieś się ulatnia w nędzy. Potem zamierają popędy i instynkty. Potem — nawet głód. Pozostaje zmęczenie i niczym nie poskromiona chęć odpoczynku — zupełny bezwład. A gdy nędza mija, gdy już człowiek dostanie jeść, gdy się ogrzeje i wypocznie, najpierw budzi się instynkt. Najpierw powraca to, co w nas istnieje najdawniej, najgłębiej — pod wierzchnią warstwą kultury, cywilizacji, różnych tam zwyczajów, konwenansów, ceregieli i wzniosłości. Nie żadne szlachetne uczucia i sentymenty, tylko to: zwierzęcy popęd — instynkt. Tak właśnie było ze mną. Jeszcze nie wiedziałem — utną mi nogę, czy nie utną; jeszcze nie oswoiłem się ze szczeg-

ciem, jakie mnie spotkało, z przepychem, jaki mnie otaczał w postaci — jak wy byście to ocenili — skromnego urządzenia domu wśród winnic francuskich, a już obecność w moim pokoju kobiety, której to wszystko zawdzięczałem, działała na moje zmysły i już ten dzielny mężczyzna, który był jej towarzyszem, stawał mi się nienawistny, jako mój potencjalny rywal. Nie mogłem myśleć o nich obojgu z wdzięcznością, jak na to zasługiwali. W niej widziałem tylko ładną, zgrabną kobietę, która zbliżała się do mnie wprawdzie po to, żeby mi poprawić pościel, żeby mi zmienić opatrunki i żeby mnie nakarmić, ale gdy uśmiechała się, gdy do mnie mówiła, gdy mnie dotykała, pochylając się nade mną, nie pamiętałem o tym: była kobietą, mogła do mnie należeć, właśnie jako kobieta. To było domniązanie: popęd... Kiedy przychodził Robert, pod wpływem jakiegoś zwierzęcego impulsu zaciskał mnie pięścią, a mięśnie w twarzy zwracały mi się tak, jakbym — jakbym miał pokazać zęby. Gdy zaś wchodził razem, nie mogłem na nich patrzeć: coś takiego się we mnie działo, czego już teraz nie umiałbym określić... Dopiero po kilku dniach uświadomiłem sobie to wszystko. Dopiero po kilku dniach — jakbyście wy powiedzieli — stałem się normalny; nasyliłem znów tym, co człowiek ma w sobie po wiekach, które dziela go od życia w jaskini, czy też na drzewie.

Zamilkł, jakby się spostrzegł, że znów zabrnął w zwierzenia i to wobec zbyt liczного może audytorium. Jakby się przestraszył, że powiedział zbyt wiele. Jakby odkrył, że to chęć mówienia o sobie po tylu tygodniach ukrywania wszystkiego, co czuł — jest w nim silniejsza niż powzięte postanowienie, aby nie odsłaniać całej prawdy.

Zapewne dlatego zmienił nagle ton i starał się mówić lekko o tym, co — być może — wzruszało go najbardziej: o roztaniu z tą kobietą, której imienia nawet nie wymienił, zachowując je tylko dla siebie.

— Pożeganie po miesiącu wypadło dosyć niezręcznie — zaczął z odcieniem lekkiej ironii. — W skrzyni od jarzyn przewieźli mnie przez most, strzeżony przez posterunki niemieckie. Zajechaliliśmy pod jakiś na pół zrujnowany dom, skąd widać było granicę. Robert poszedł przekonać się, czy przejście jest możliwe. Ona przeprowadziła mnie wzdłuż strumyka aż do zakrętu, gdzie rośli jakieś krzaki. Przystanęliśmy tam, aby czekać na znak Roberta. Byłem, naturalnie, wzruszony i przejęty, jak tego sytuacja wymagała, ale głównie myślałem o tym, jak zdołam przebyć sto kroków zupełnie otwartej przestrzeni, dzielącej mnie od lasu. Chciałem jakoś podziękować jej za opiekę, za — no, za wszystko. Przecież oboje uratowali mi życie. Ale za takie rzeczy bardzo trudno jest dziękować: trudno znaleźć właściwe słowa, żeby nie wyszło głupio. Namyslałem się, jak powiedzieć, gdy usłyszałem gwizdanie Roberta. Trzeba było iść. Powiedziałem wreszcie, że nie wiem, jak się im odwdzięczę, że... Już nawet nie pamiętam, co. Ona znalazła te słowa. Bardzo proste i bardzo prawdziwe. „Pan wróci do swego dywizjonu — powiedziała, patrząc mi w oczy. — Będzie pan dalej walczył za Polskę, za Francję, za wolność. Jesteśmy sojusznikami — pan i my”. Prosiłem, żeby mi dała coś na pamiątkę — na szczęście. I wtedy — to było, wiecie, zupełne zaskoczenie — pocałowała mnie! Musiałem mieć strasznie głupią minę, ale właśnie Robert zagwizdał po raz drugi i musiałem iść. Obejrzałem się na nią, brnąc przez strumień. Patrzyła uważnie w stronę mostu, tam, skąd powinien był wrócić Robert. Zapewne niepokoiła się o niego... Wyszedłem na drugi brzeg i zacząłem biec, nie zważając na coraz dotkliwszy ból w stopie, która nie zrosła się jeszcze. Padałem, zrywałem się, biegłem znowu i znów padałem. Potem przedzierałem się przez zaskieki, szedłem, czołgałem się, pełzałem, aż pokrwawiony, w ubraniu podartym na drutach kolczastych, zasyłem się w las. Przechodziłem później jeszcze drugą linię graniczną i przedzierałem się przez inne zaskieki. Ukrywałem się, głodowałem, uciekałem. Ale to nie ma znaczenia. To już było w kraju neutralnym. Już nie groziła mi niewola niemiecka. Już wiedziałem, że — prędzej czy później — dostanę się tutaj. No i — jestem: miałem szczęście — udało się. A tamci... Stamtąd wraca się dopiero po wojnie. Tamto chyba trudniej jest przetrwać, niż to, przez co ja przeszedłem. Nawet wtedy...

Urwał, bo drzwi od saloniku otworzyły się i do pokoju zajrzał zawsze roztargniony i trochę senny Morisson. Nie zauważył ani Lucy, ani Sarata, i od razu zwrócił się do naszego przedniego strzelca, z którym miał wspólne upodobanie do piwa i do bridge'a:

— Lejba, what about beer? Bar is open. And we play bridge to-night, don't we?

Lejba ocknął się i zamrugał, wskazując mu ruchem głowy „Lordównę”.

— Sorry... — powiedział Morisson. — I am very sorry, miss Lucy.

Wreszcie zobaczył także Sarata i ucieszył się serdecznie, wyrażając to na swój powściągliwy sposób:

— Hallo, hallo! How are you, Sarat? What a surprise! By the way: do you play bridge?

Wszyscy się roześmiali, Zygmunt zaś powiedział, że Sarat nie cierpi bridge'a. Nie cierpi do tego stopnia, że nie dał się wziąć do niewoli, aby tylko nie grać w karty.

Morisson pokręcił głową:

— That's funny... that's strange — powiedział się.

— Just prejudice — powiedział Sarat.

Porucznik Herbert

Prof. Zygmunt Łempicki

Z Kraju przyszła wiadomość o śmierci Zygmunta Łempickiego, profesora germanistyki Uniwersytetu Józefa Piłsudskiego w Warszawie. Ze śmiercią jego nauka polska poniosła stratę szczególnie ciężką. Był to bowiem uczony, który nie tylko że wyrobił sobie imię w nauce i poza granicami Polski, ale też który ze względu na charakter i zakres swoich zainteresowań, daleko wykraczających poza jego ścisłą specjalność — odegrał wybitną rolę w naszym życiu kulturalnym ostatniego dwudziestolecia.

Jako germanista zdobył sobie Łempicki poważną pozycję w nauce niemieckiej swoją historią niemieckiej nauki o literaturze „Geschichte der Deutschen Literaturwissenschaft”, której wyszedł tylko tom pierwszy, doprowadzony do w. XVIII włącznie. Miara uznania, jakie sobie Łempicki tu zdobył, może być fakt, że kiedy dwaj profesorowie z Gryfii Merker i Stammer przystąpili do wydania znanej encyklopedii literackiej „Reallexicon der deutschen Literaturwissenschaft”, zaprosili do współpracy Łempickiego, jako jednego z bardzo niewielu obcych uczonych; opracował on w „Reallexicon” tak podstawowe zagadnienia, jak „nauka o literaturze” i „krytyka literacka”.

Książka Łempickiego o niemieckiej nauce o literaturze była bardzo znamienita dla typu jego zainteresowań, skierowanych ku zagadnieniom teorii i metodologii nauk. Zdobywszy poważną kulturę filozoficzną, odegrał tu Łempicki przy swoim bardzo rozległym oczytaniu w zachodnioeuropejskiej literaturze naukowej płodną rolę człowieka, wprowadzającego do nauki polskiej szereg nowych ujęć i problemów i zmuszającego do rewizji utartych stanowisk. Zakres jego zainteresowań był niezwykle rozległy: poza zagadnieniami literackimi obejmował także językoznawstwo, teorię i historię kultury, zagadnienia ogólnej metodologii nauk, problemy pedagogiczne i sprawy organizacji nauki. Zainteresowania, jak widzimy, wyjątkowo szerokie. Dodajmy do tego, że i zakres swojej germanistyki obejmował Łempicki szeroko, bo obejmował nią nie tylko kulturę niemiecką, ale także i kultury skandynawskie. Starał się zorganizować będącą jeszcze w powijkach polską skandynawistykę, był też jedynym u nas uczonym, który

w stulecie Ibsena mógł kompetentnie o nim pisać.

Najbardziej znaną jego pracą była wydana nie na długo przed tamtą wojną książka „Renesans, oświecenie, romantyzm”, przegląd najnowszych, zachodnioeuropejskich teorii, poświęconych tym trzem podstawowym prądom kulturalnym czasów nowożytnych.

Trzeba też koniecznie wspomnieć o redagowanej przez niego przy współudziale p. Anny Chorowiczowej (również zamęczonej przez Niemców) encyklopedii dla młodzieży p. t. „Świat i Życie”. Była to encyklopedia, z której mogliśmy być naprawdę dumni. Była ona przede wszystkim bardzo oryginalnie pomysłana. Jej tom ostatni (piąty) był zwykłym słownikiem encyklopedycznym, ale częściej pierwsza — tomy I — IV — pojęta była inaczej: hasła były tam nieliczne, wybrane, obejmujące tylko tematy naprawdę ważne (zwłaszcza z punktu widzenia wymagań i zainteresowań współczesnego życia), ale na każdy z tych tematów z reguły najwybitniejszy polski specjalista pisał artykuł dużo większy od tego, jaki można spotkać w normalnej encyklopedii, napisany jasno, popularnie, z informacjami bibliograficznymi. Już sama jedna taka encyklopedia była dużej miary czynem kulturalnym.

Przy tym, wszystkim starczyło jeszcze prof. Łempickiemu i energii, i czasu na obfitą działalność publicystyczną. Był jednym z redaktorów „Kuriera Warszawskiego” i ogłaszał w tym piśmie często artykuły na tematy polityki zagranicznej oraz rzadziej na tematy pedagogiczne. Artykuły jego były interesujące, ale pisane były raczej ciężko. Łempicki nie władał żywym, interesującym piórem. Zaciążyło to na jego pracach naukowych i nie pozwoliło mu się wybić jako publicystę.

Miał rozległe i dobre stosunki w niemieckim świecie naukowym aż do ostatnich miesięcy przed wojną. Kiedy jednak zawierucha wojenna zaczęła się zbierać nad Polską, nie zawahał się z ogłoszeniem w „Kurjerze Warszawskim” serii ostro antyniemieckich artykułów. Tak samo jak cała nauka polska, nie poszedł na żadną formę współpracy z Niemcami. Zginął w niemieckim obozie koncentracyjnym.

ww.

WŁADYSŁAW BRONIEWSKI

WYBÓR POEZJI

1925—1944

Cena 200 milsów

Wydawnictwo „W Drodze”, Jerozolima

NOWOŚĆ!

Nakładem Wydawnictwa „W Drodze”
ukazała się książka

Inż. ANTONIEGO KOTUŹYŃSKIEGO
**ROLNICTWO PALESTYŃSKIE
I
OSADNICTWO ŻYDOWSKIE
W PALESTYNIE**

Stron 217 i 10 ilustracji

Cena 250 milsów.

NOWOŚĆ!

Nakładem Wydawnictwa „W D R O D Z E”
ukazał się tom pierwszy

POWIEŚCI HISTORYCZNEJ

TEODORA PARNICKIEGO

SREBRNE ORŁY

Stron 356

Cena 300 milsów

TOM DRUGI W DRUKU

ANTONI BOGUSŁAWSKI

Epos jugosłowiańskie

Slawistyka zna dwa eposy bohaterskie : ruski i jugosłowiański. Ruski — t. zw. **byliny** — jest dziś pozycją zamkniętą, martwą. Istnienie jego i rozwój skończyły się we wczesnym średniowieczu. Jego piękno i bogactwo znamy już tylko z rozważań szkolnych. Robią one duże wrażenie, zwłaszcza na Słowianach zachodnich, którzy — jak wiadomo — swego eposu nie posiadają, czy też nie przechowali. Być może, że wpłynęła na to eksterminacja, idąca niemiłosiernie od zachodu.

Jugosławia nie tylko ma epos, ale ten epos dotychczas żyje. Jest to wspaniały dar, jaki przeszłość składa teraźniejszości. Do wielkich cyklów, zaczynających się zrytmowanymi legendami religijnymi, przechodzących przez epoki historyczne i najwyższy wzlot osiągających w pieśniach o Kosowie, dodać trzeba ciągłe uzupełnienia. Przynoszą je gęślarze, twórcy i odtwórcy, błądzący po kraju z prymitywną, trzysłonną, lub nawet jedno-słonną gęślą i zawodzący monotonnie „so-bie a ludziom“. Od wieków utrwalił się rytm 10-zgłoskowy, chociaż pierwotnie strofa miała 16 zgłosek. Utrwalił się również styl pieśni, z częstymi powtórkami, z leoninami wewnątrz, nadającymi białemu wierszowi potoczność. Widziałem na jednej z wysp adriatyckiego takiego gęślarza. Młody był jeszcze, w stroju czarnogórskim, suchy, zawiędy, zgarbiony charakterystycznie, jak korzeń winorośli. Pieśń jego stanowiło powtarzające się **recitativo**, ze wznoszeniem i opadaniem głosu, przy czym tony gęśli tylko podtrzymywały melodię, ale nią nie kierowały. Otaczał go tłum słuchaczy, chionących opowieść, a po chwili wtórujących gęślarzowi w momentach, gdy podkreślał wagę epizodu powtórzeniem. Trwało to około dwóch godzin i nie zdawało się nużyć audytorium. Była to opowieść bohaterska o tamtej wojnie światowej; dziwnie odbijały od staroswieckiego tła takie wyrazy, jak „telefon“. Słyszałem także od innego pieśniarza jeszcze aktualniejszą pieśń: o zgonie króla Aleksandra, króla-witeźla, w Mar-sylii. Było to w dwa lata po tragicznym mor-derstwie. Oto bezsporne dowody, że epos ju-gosłowiański żyje.

Nie nowe jednak pieśni, ale właśnie stare, najstarsze, o Nemaniczach, carze Lazarze, bitwie na Kosowym Polu, o matce Jugowic-zów, o królewiczu Marku mają największe po-wodzenie. Znanie są, jak Jugosławia długa i szeroka, zarówno w kraju serbskim, jak chor-wackim, między prawosławnymi, katolikami i muzułmanami; może najczystej przechowały się właśnie w Bośni i Hercegowinie. Wielkiego dzieła dokonał w pierwszych latach XIX wieku Vuk Karadzić, że te pieśni zebrał, spisał i wraz z tekstami narzucił językowi serbsko-chorwac-kiemu jednolitą fonetyczną pisownię. Kult dla pieśni ludowej, bohaterskiej (t. zw. męskiej), i miłosnej (t. zw. żeńskiej), przejął potem szkoła illiryska, a od niej rozeszły się te pieśni po całej Europie doby romantycznej. Co jed-nak najznamienniejsze, epos znalazł w samej Jugosławii genialnego kontynuatora ar-tystycznego, powiedzieć można — syntetyka, który we wspaniałych i natchnionych strofach uwiecznił ciężkie walki swego narodu z prze-mocą turecką. Twórcą tym był Ivan Mazura-nić, pisarz i mąż stanu chorwacki.

Ivan Mazuranić urodził się w r. 1814 we wsi Novi, na Pomorzu chorwackim, niedaleko miasta Senj. Był synem ludu, szkoły przeszedł o własnych siłach, a osiągnął najwyższe do-stojenstwa, jakie mógł mu dać kraj rodzinny. W r. 1848 był sekretarzem historycznego sej-mu w Zagrzebiu i autorem projektu zgody węgiersko-chorwackiej; w r. 1860 stał na cze-le chorwackiej kancelarii w Wiedniu z tytułem kanclerza; w r. 1861 — jako poseł do sejmu chorwackiego sformułował zasady autonomii Chorwacji; w r. 1873 został banem i wskutek szczególnej dbałości o szkolnictwo i prawa lu-du zyskał sobie zaszczytny tytuł „bana ludo-wego“. Oto Mazuranić, jako mąż stanu, realis-ta w polityce, szanowany przez wszystkich, chociaż nie przez wszystkich uznawany za wy-raz aspiracji narodowych. Nie polityka jed-nak, ale literatura, stała się motywem jego wiecznotrwałej sławy.

Mazuranić od młodości był poetą klasy-

czującym. Jego poetyckim wyznaniem wiary było, iż należy kontynuować zdobycze szkoły dubrownickiej z XVII w. i nadać językowi ro-dzimemu miękkość oraz dźwięczność strof Danta. Klasycyzm Mazuranića opierał się na głębokiej znajomości autorów łacińskich, a jego oda do Ljudevita Gaja dzwoni zupełnie, jak oda starożytna. Jednakże ten wielki poeta nie mógł nie ocenić samorodnego piękna i po-tęgi bohaterskiej poezji ludowej; nie mógł na-wet oprzeć się temu, aby według jej wzorów nie wysnuć poematu narodowego, który stał się dla Jugosłowian tym, czym jest dla nas „Pan Tadeusz“. Cytaty ze „Śmierci Smail-agi Cengića“ — taki jest tytuł poematu, liczące-go 5 pieśni w 1.134 wierszach — są na ustach wszystkich i weszły po prostu w mowę po-toczną.

Poemat opiewa walkę Czarnogórców z Turkami. Bohater, Smail-aga, jest bośniackim lub hercegowińskim begiem-poturczyńcem i katem chrześcijańskich pobratymców. Pieśń I opiewa mękę, zadawaną przez wściekłego Tur-ka nie tylko poddanej „rai“, ale i własnym lu-dziom. W pieśni II widzimy skrzywdzonego prze-zeń człowieka, jak uchodzi przez góry do Ce-tynia. W pieśni III formuje się „czeta“ mści-cieli. Pieśń IV — to punkt kulminacyjny psy-chologii i akcji: Smail-aga bierze gwałtem haracz i zostaje zgadzony w boju. Zamknię-cie, pieśń V, daje smutny obraz bohatera, sprowadzonego do larwy, do postaci pajaca, ubranego w jego strój i broń, a kołyszącego się za pociągnięciem sznurka.

Jak widzimy, na przestrzeni tysiąca wier-szy toczy się tragedia dziejowa. To nie epizod — to synteza wielowiekowych zmagani chrze-ścijaństwa z islamem.

Obyż inne dostrzegły narody z nizin, z mroczy, skąd nie widzą oczy, krzyż ów sławny, krzyż niezwykły, ponad Lowceń ku górze wniesiony! I wiedziały, jak potwór turecki rad go pokonać swą paszczą strasliwą, ale stale kruszy ząb na skałę. Może gnuśne by zadrgały ręce, gdy za krzyż ten wy padacie w męce; może by was dzicza już nie zwała, was, ginących, kiedy inni spali!

Trudno bardziej treściwie ująć zagadnie-nie historyczne i polityczne. Mimo woli na-suwa się analogia z dniem dzisiejszym, cho-ciaż to już nie z islamem walka...

Protest, żywiołowy protest przeciw gwał-towi, przeciw hańbiącym człowieczeństwo na-miętnościom — w tym jest istotna treść poe-matu. Tym mocniej treść ta występuje, że Smail-aga nie pozbawiony jest osobiste pier-wiastków męstwa i dzikiej rycerskości. Jest jednak przedstawicielem innego świata, inne-go systemu — i musi zginąć, jeżeli inny świat ma przetrwać. Epilog poematu daje zwycięst-wo Słowianom, chrześcijanom — i w tym jest jego znaczenie narodowe dla całej Jugosławii, serbskiej czy chorwackiej, wschodniej czy za-chodniej. Piszę to Chorwat o Serbach, wyznawca jedności swoich współplemionców.

„Śmierć Smail-agi Cengića“ jest przetu-maczona na polski i wyszła jako tom I „Bib-lioteki Jugosłowiańskiej“ w r. 1931 w War-szawie, wydawanej pod redakcją prof. Bene-sića. Przekład autora tego artykułu. Krytyka jugosłowiańska uczyniła przekładowi ten zaszczyt, że uznała go za najściślejszy z dziesię-ciu istniejących. Wyborny jest przekład an-gielski. Z Polaków dawniej próbował tłuma-czyć Syrokomla, ale przekładał z drugiej ręki, bo z czeskiego. Stąd liczne niedokładności.

Wraz z „Górkim wieńcem“ Njegosa poemat Mazuranića stanowi tak dokładne od-bicie bohaterskiej poezji ludowej, że nie wa-ham się polecać zaznajomienia się z nim, je-żeli kto nie ma możliwości sięgnięcia do orygi-nalnego eposu. W każdym razie jest to jedna z najbardziej udanych prób adaptacji formy ludowej do poezji artystycznej, tak tematycz-nie jak i co do formy. Zaledwie jeden akcent pseudo-klasyczny wskazuje na nawyk autora obcowania z literaturą starożytną. Natomiast z niej wziął głębokie mistrzostwo rytmiki w wierszu, na ogół nie rymowanym. Z niej tak-że — beznamietność i sprawiedliwość, gdy chodzi o bohaterów.

Polacy we Włoszech

HEJNAŁ MARIACKI NA MONTE CASSINO

BOLESŁAW KOBRZYŃSKI

WYPROWADŹ NAS, DANTE



Na gruzach klasztoru Monte Cassino trębacz dywizji Karpackiej gra hejnał mariacki. Powyżej flaga polska.

Kiedy Italia przedwiośnią rozmokła,
Płynny wozem jak czołmem!

Wraz szyby i oczy deszcz chłosta...

Na zieleniących się stokach
Jeden jest tylko drogowszak;
Na północ...

Biała cisza na szczytach przeży się wyniosła
I lawiną pomroków z pagórków się toczy —
To ogień karabinów mrozi krew pod skronią.

A na południowym zboczu
Słońce — łaskawa dłoń —
Podnosi nieśmiało badyl winorośli.

Poległy śpiewy — ptaki.
Pieśń zbrojna naprzeciw wybiegła
Wyzwalać wiosnę i włoskie lazury.

Tak,
Wstąpiliśmy do piekła
Po raz nie wiedzieć który...

Kręgami ognia szlak się układa,
Gdy — idąc ku szlakom dalekim —
Serpentynami schodzimy na „tamten“...

Ecco la nazionale strada!
Z dna piekiel
Wyprowadź nas, Dante!

Przedruk z „Gońca Karpackiego“ nr. 7 (119)
z dn. 9 kwietnia 1944 r.

ECHA MONTE CASSINO



Po bitwie pod Monte Cassino i po zwycięstwach francuskich na froncie włoskim szwajcarski tygodnik „Die Weltwoche“ przyniósł w numerze z dn. 26 maja na czołowym miejscu następujący, reprodukowany tutaj rysunek symboliczny, przedstawiający stylizowane sztandary polski i francuski na tle włoskiego krajobrazu. Znaczeniu politycznemu walk wojsk francuskich i polskich we Włoszech pismo poświęciło w tymże numerze artykuł p. t. „Die Toten kämpfen wieder...“ Podniósłszy, iż Niemcy toczą przeciwko Polakom walkę biologiczną, dążącą do zniszczenia narodu polskiego, artykuł podkreśla znaczenie udziału wojsk polskich w kampanii włoskiej jako manifestacji polskiej woli życia. Reakcja na zwycięstwo pod Monte Cassino „Die Weltwoche“ jest tu dla nas tym znamiennejsza, że jest to reakcja pisma kraju neutralnego, a więc nie podyktowana żadnymi względami propagandy wojennej.

NOWY MODEL

ZENITH
RADIO

AMERYKA

Nadeszły aparaty radiowe:
7-mio lampowe na akumulator 6 volt
oraz na prąd 115 i 235 volt
Przedstawicielstwo:

BRACIA **SWISŁOCY**, TEL-AVIV, Allenby 35

W NAJBLIŻSZYM CZASIE

ukazą się dwa numery spe-
cjalne „W Drodze“, poświęcone

LIBANOWI I PALESTYNIE

IRENA KEJLIN

NIE TYLKO Z ZACHODU...

„Kultura szła do Polski z Zachodu i Polacy czerpali słowa z łaciny, włoskiego, niemieckiego i francuskiego pełną gębą” — pisze Karol Żbyszewski w „Wiadomościach Polskich” (nr. 33 z ub. r.).

Nie tylko z Zachodu, Wschód także zasilał polską skarbnicę językową. Czasem przez kontakt bezpośredni z narodem sąsiadnym; czasem słowa przychodziły szlakiem handlowym, określając przywożone towary, drogie tkaniny, pachnidła i korzenie. Niekiedy słowa odbywały drogę okrężną: wędrowały szlakiem podbojów poprzez całą północną Afrykę do Hiszpanii, przedostawały się do Francji i Włoch, by stamtąd przybyć do nas, nieraz dopiero po wiekach.

Dziś wydaje się nam, że kraje Środkowego Wschodu są tak dalekie od Polski pod względem geograficznym i kulturalnym, że proces wzajemnych wpływów językowych był minimalny. Nie zdajemy sobie często sprawy, jak wiele język polski tym właśnie krajom zawdzięcza.

Najbliższa geograficznie i dziś jeszcze jest Turcja, a przecież w ciągu długiego okresu naszych dziejów Turcy nieraz podchodzili aż pod granice Rzeczypospolitej i byli z nami w bezpośredniej styczności. A jaki był to kontakt, łatwo jest nawet nie znającemu historii wynioskować ze słów takich, jak: **czekan**, **dzirył** lub **kindżał**, które określają rodzaje ówczesnej broni. Na podstawie tureckiego pochodzenia słowa **kożczan** słuszenie się domyślamy, że łucznictwo w rzemiośle wojennym Turków i Tatarów odgrywało dużo większą rolę niż w ówczesnej chrześcijańskiej Europie.

T a t a r z y, a później Turcy zawdzięczają zwycięski swój pochod nie tylko kulturalnej wierze w Allaha i jego jedyne proroka, nie tylko popełnianym okrucieństwom, lecz przede wszystkim metod walki, których podstawą były łucznictwo i konnica.

Szczególnie koń odgrywał kolosalną rolę tak w życiu, jak i w rzemiośle wojennym konczowniczych ludów azjatyckich. Stanowił on jedyne źródło wyżywienia, a jako szybki środek lokomocji decydował o ich przewadze w walce. Na koniach przebyli Tatarzy bezkresne stepy azjatyckie, konną szarżą pokonywali wroga. Słowo **koń**, nasz stary, „polski” **koń** pochodzi z tatarskiego **konan**. Jak również z tatarskiego wywodzą się **rumak**, **bachmat** (koń bojowy), **bułanek** i **kulbaka**. Z tureckiego: **kuc**, **ogier**, **kary** i **czapak**. Nawet i **tuman kurzu**, w którym zjawiał się zniecała **tabun** **koń**, jest tureckiego pochodzenia.

Buława, zanim stała się godłem urzędu hetmańskiego, była dość groźnym rodzajem broni tatarskiej, odmianą maczugi. **Uzan** i **młody junak**, ukryty w jarze na **czatach**, jest również tatarskiego pochodzenia. **Buńczuk** i **kańczug** — tureckiego.

Obrazy krwawych zmagani z mahometaniskim wschodem, jakie przywołują nam te słowa, zamyka samotny **kurban** na stepie kresowym, lub stokrotnie od niego straszniejszy **jassyr**. Inne jeszcze słowa, nabrzmiałe grozą i wzbudzające przerażenie, przyniosła Turcja z azjatyckiego wschodu: **dżuma**...

Lecz nie zawsze spoglądało się z trwogą na południowy wschód i nie zawsze słowa tureckie przypominają nam zamęt bitewny.

W okresach pokoju przejeżdżali od Turków strój wschodni wraz z nazwami; przejeżdżali go chętnie i bez sprzeciwu. Uśmiechamy się, gdy Mickiewicz przeciwstawia w „Panu Tadeuszu” modzie francuskiej lub niemieckiej — nasz staropolski strój, składający się z tureckiego **kaftana**, **kontusza**, **czamary** (poprzedz Węgry) i **delii**. Tureckie są **karakuty**, którymi ozdabiano kołnierze, i **kołpaki**, a **tasma** — to jedyna pozostałość tureckiego kobiecego, ach, jakże zmiennego stroju. Nie wiadomo, w czym noszono dawniej pieniądze, skoro i **kaletę** i **torbę** wypożyczaliśmy od Turków. Niektóre części stroju dziwne przeszły koleje losu, jak naprzykład **chałat** i **jarmużka**, które stały się wyjątkiem żydowskim ubiorem. **Meszy**, noszone równocześnie z **cizmami** w XVI wieku (spotykamy je nawet u Reja), ustąpiły miejsca francuskim **pantoflom**, a zachowały się jedynie w Małopolsce Wschodniej.

Zapewne u baszów tureckich, w namiotach, wyscietanych dywanami (perskimi, jak i samo słowo **dywan**), siedząc na miękkich **tapczanach**, nauczali się rycerze polscy jeść **mamałyge**, **kawior**, **bakalie**, podawane na **ta-cach**, pić w arabskich filiżankach **arabską kawę**, nalewaną z tureckiego **imbryka** i palić turecki tytoni w długich **cybuchach**. Zadziwiająca jest szybkość, z jaką **tabaka**, przywieziona wraz z indyjską nazwą przez Sir Waltera Raleigh'a z Ameryki, już za Stefana Batorego, a więc w niecałe ćwierć wieku później, przywędrowała do Polski jako turecki tytoni.

Dla zakończenia obrazu ówczesnej Turcji i Tatarów, koczowniczych ludów azjatyckich, przypomnijmy, że wyraz **koczować** jest pochodzenia tureckiego, jak również **kiosk**, **szafas**, **kotara** w namiocie i **tabor** obozowy. Tatarski **majdan** (wolne miejsce między namiotami) pozostał jeszcze tylko w języku węglarzy, jako polanka, na której wypala się węgiel drzewny. Pozostał on jeszcze jako nazwa geograficzna, Majdan, lub Majdanek, którymi usiany jest pas południowy Rzeczypospolitej, znaczący drogę najazdów tatarskich. **Majdanek** pod Lublinem, gdzie może w XIII wieku w jasyr za-

pędzano bezbronnych mieszkańców okolicznych miast, jest dzisiaj koncentracyjnym obozem śmiertel dla Żydów.

Z Persją, nie mieliśmy nigdy kontaktu bezpośredniego. Wyrazy perskie przychodziły do nas przeważnie poprzez język turecki, czasem okrężną drogą przez kraje Zachodu, jak np. **balkon**, wprowadzony przez włoskich architektów królowej Bony. Persja była dla nas krajem odległym i jakby z bajki. Miły nastrój miękkiego komfortu wyczarowują perskie wyrazy, istniejące w polskim słownictwie: **bałdachin**, **dywan**, **szachy** z **hebanu**, **nargile**, **laka**, **lazar**, **balsam**, **tafta**, **atłas**, **kaszmirowy szal**, **tulipany** i **narcyzy**... Słowa te układają się same w obrazek Dulac'a, w ilustrację do „Bajek z 1001 Nocy”.

Słowa arabskie przychodziły do nas wyjątkowo z Zachodu, za pośrednictwem łaciny, lub francuskiego. Tłumaczenia łacińskie arabskich dzieł naukowych zachowały arabskie wyrazy z dziedziny matematyki, astronomii i chemii, z okresu, kiedy maurytańska Hiszpania była jedynym bastionem nauki w Europie: **stad** chemia, **algebra**, **zenit** i **nadir**, **alkalia**, **amalgamat** i **antymon**. Pojęcia, związane z miarami, jak **kaliber**, **centnar** i **karat**, nazwy egzotycznych ras zwierząt, jak **gazella**, **zyrafa** i **marabut**, dotarły do nas poprzez francuski i włoski.

Architektura wzbogaciła się o **alkowe**, muzyka o instrumenty: **lutnię** i **cytrę**. O komforcie życia codziennego u Maurów świadczą **materac**, który doszedł do nas o całe wieki później z Francji, **wesołość** ich życia towarzyskiego, kontrastująca z ponurą, średniowieczną Europą, przypomina **maskarada** i **fanfara**...

Nazwy materiałów, jakże luksusowych w owych czasach, pochodzą od miast arabskich, w których po raz pierwszy zostały produkowane, jak **adamaszek** (z Damaszku), **muslin** (z Mosulu), **makata** (z Mekki) i **gaza** (z palestyńskiego miasta Ghaza).

O tym, że Arabowie, zanim wnieśli swój wspaniały gmach sztuki i kultury, byli narodem wojowniczym, przypominają nam słowa **arsenal**, **karabela**, **kajdany** i **admiral** (**ami-el-bahr** — pan morza). Rozwój nauki w maurytańskiej Hiszpanii nie zdołał jednak widocznie wykorzystać starych, pustynnych może przesądów, skoro wyrazy **talizman** i **amulet** są arabskiego pochodzenia.

Wyrazów arabskich w języku polskim jest tak wiele, że nie sposób wszystkich przytoczyć, wymienimy jeszcze tylko **taryfe**, **hiacent**, lub po polsku **brzmiący** i **pachnący jaszmin**. Są poza tym słowa takie jak **szafir**, **szafrań**, **bazar** (po hebrajsku **basar** — mięso), które brzmią jednakowo w wielu językach semickich, dowodowały nawet czasem do Persji i Turcji, i trudno ustalić jaką właściwie drogą do nas dotarły.

Hebrajskich wyrazów jest w języku polskim niewiele. Jeśli wyliczymy słowa, związane bezpośrednio z żydowską religią lub obyczajami, jak **tora**, **tales**, **pejsy** czy **maca**, zostanie nam tylko garść słów, przejętych z Biblii, brzmiących jednakowo we wszystkich językach krajów chrześcijańskich, jak **gehen-na**, **szatan**, **belzebub**, **niebieskie cherubiny** i **serafy**, **moloch**, **mesjasz**, **sobota**, **sabbat** czarownic, **manna**, **opat** (po angielsku **abbot** od hebrajskiego **aba** — ojciec), czy liturgiczne: **amen**, **halleluja** i **hosanna**.

Ciekawe jest pochodzenie przysłowia **slamazany**: pochodzi on z żydowskiego, gdzie niemieckie **schlimm** (zły), połączone z hebrajskim **mazel** (szczęście), dało wyraz „szli-mazeł”, odpowiadający polskiej „niezdarze”.

Zwróćmy uwagę na ciekawe zjawisko: podobieństwo między wyrazami **słowiańskimi**, **semickimi** i **sanskryckimi**, określającymi pojęcia dotyczące ziemi i roli. Być może, że zjawisko to jest przypadkowe. Ale fakt, że słów tych jest kilka, że wszystkie dotyczą tej samej dziedziny, i że języki te nie mają innych słów o przypadkowym podobnym brzmieniu — nasuwa możliwości pokrewieństwa.

A więc **sad**, który zdawałoby się, napewno pochodzi od **sadzić**, **siedzieć**, jest być może spokrewnione z hebrajskim **sade**. **Niwa** — po hebrajsku **nave** — pastwisko, w sanskrycie **naw**; a może łączymy tu i łacińskie **nivellum** i francuskie **niveau** — poziom? **Bór** — w chaldejskim **bor**, w arabskim **barr** — **pole**. **Droga** (daraga) po hebrajsku **derech**, podobnie po arabsku **gaj** — po hebrajsku **gej** — dolina. A może niemieckie **Gau** albo **hain**?

Dwór — po hebrajsku **dor** — mieszkać, **dira** — mieszkanie.

Góra (hora) — po hebrajsku **har**.

Są to słowa bardzo stare, przypuszczalnie z początków życia osiadłego. Gdzie w tak zamierzonych czasach zetknęły się ludy semickie z ludami, mówiącymi językami aryjskimi? Może przejeździł semicki Chaldecyjczyk od osiadłych wcześniej w dolinie Eufratu i Tygrysu aryjskich Sumeryjczyków? A może odwrotnie: górskie szczepy irańskie zapożyczyły sobie semickie słowa wraz z pojęciami podczas napadów na rolniczą Chaldecję? Pozostaje również rozstrzygnięcie pytania, dlaczego słowo to zachowało się głównie w językach słowiańskich, czyżby mniej odbiegły one od sanskrytu, niż inne języki aryjskie?

Daleko w czasie i przestrzeni prowadzą poszukiwania słów ze Wschodu. Nieraz okólnymi drogami wędrują one po świecie, zmieniając brzmienie lub niekiedy i znaczenie — zanim dotrą do nas i wzbogacą nasz język.

Książka dla dzieci

Anatol Krakowiecki: Bajki białe-czerwone. Ilustracje Zygmunta Kowalewskiego. Jerozolima, 1944. Wyd. „W Drodze”.

„Bajki białe-czerwone” Krakowieckiego są w intencji wzruszające. Celem, który autor sobie postawił, jest: wyczerpać dla dzieci uchołdztwa atmosferę kraju. I tu instynkt autora dobrze go powiodł: nie do wielkich wydarzeń historycznych, nie do opisu miast czy okolic, — usłyszą o tym lub słyszą już w domu i w szkole — ale do tych zwyczajów i obrzędów, które niejako na marginesie świat kościelnych i narodowych jak tęcza wstęga przewijają się rok rocznie przez życie polskiego dziecka — od willi Bożego Narodzenia, poprzez Smigus, Emaus, Lajkonika, aż po andrzejki. Obrzędy te pełne są zapachu tajemniczej dawności, ale zarazem odznaczają się niezwykłą bezpośredniością, jaką niosą z sobą wszystkie święta prawdziwie ludowe. Wiele z tych obyczajów było już w zaniku w ostatnich latach przed wojną wskutek coraz szybszej urbanizacji i modernizacji życia, zaś świadome, z góry inspirowane „etnograficzne” wskrzeszenia mimo przepychu „wystaw” nie miały tego ciepła i życia, co prawdziwe święto ludowe. Tak np. za czasów mego dzieciństwa co roku zachodził do nas turoń z orszakiem i trzech królowi z gwiazdą, ale w latach dwudziestych i trzydziestych zluźniły go liczne „opiaki” i jasełka przeróżnych zgromadzeń i związków. Lata całe nie widziałam turoń i wiele z nich pewnie, podobnie jak „nasz” turoń łobzowski, powędrowało do muzeum etnograficznego. A ile z tych świąt bez troski i swawoli przeżyje lata ucieku i grozy, by zakwitnąć na nowo w przyszłej, wolnej Polsce? Tak więc z zainteresowaniem wzięłam do ręki „Bajki białe-czerwone”, mając nadzieję, że znajdzie w nich prosty, serdeczny i żywy obraz zwyczajów i obrzędów, tak nam wszystkim drogich.

Ale, niestety, wykonanie nie dotrzymało kroku dobrym chęciom. Autor w przedmowie „do starszych” prosi o względność: „nie bierzcie nawet do ręki tej książki, nie dla was ona pisana”. Cóż, kiedy rodzice i wychowawcy z natury rzeczy biorą do ręki książki dla dzieci i wydają o nich sąd. Wprawdzie nie jako o literaturze par excellence, ale właściwie jako o literaturze dla młodzieży, która ma swoje własne prawa i wymagania.

Jako książka dla młodzieży, pozostawiają „Bajki białe-czerwone” wiele do życzenia. Po pierwsze, nie wiadomo dla jakiego wieku są przeznaczone. Jeśli dla dzieci, które nie umieją jeszcze same czytać, jakby sądzić po pierwszej ich odbiorczyń, małej Basi, to przynajmniej jedna trzecia jest dla nich za trudna, za górnolotna — jeśli dla dzieci starszych, które przecież Polskę jeszcze trochę pamiętają (pory roku, krajobraz i t. d.), to części jest dla nich po prostu zbyt ciężka, a część zbyt „dziecinna”.

Poza tym dziecko, prawdziwe dziecko, biorąc do ręki te bajki, będzie się czuło rozczarowane i poniekąd oszukane. Bo jeśli bajki, to musi się w nich coś dzieć. Kompletny brak fabuły, albo przynajmniej „bohatera”, jakiegoś konkretnego dziecka (lub kilku), biorącego udział w pracach, zabawach i obrzędach, jest w książce dla dzieci grzechem śmiertelnym. Najlepszym tu przykładem

ne drobne poematy refleksyjno-liryczne dziecko kwalifikuje po prostu jako „nudne” i, przerysowując wielki Andersen, wśród którego bajek rozsiadłszy się na najwyżej raz do końca, żeby się upewnić, że się w nich nic nie dzieje, omija je lata całe, podczas kiedy inne, sąsiadujące z nimi opowiadania czyta niezliczoną ilość razy i zna na wylot. Bo tak się czyta w dzieciństwie: nie raz i nie dwa, ale jeszcze, jeszcze i jeszcze, od początku, do końca, ze środka. Otóż nie zdaje mi się, żeby który z młodocianych czytelników powrócił do tej książki po raz drugi i trzeci. Bo tu nie tylko brak fabuły, ale na jej miejsce wlepisz się coś, co dziecko czytające zawsze trochę żenuje i niecierpliwi — zbyt natrętny morał. Opowiadania te są zbyt przeładowane dydaktyką, czasami dość udana, być może, że potrzebna, ale nie w tych rozmiarach, jeśli to nie ma być „kazanie”, podręcznik, ale „beletrystyka” dziecka. Dzieci rozgarniają te dwa rodzaje bardzo dokładnie i jeśli chętnie przyjmują morał, idący w parze z interesującą, porównując treścią, bardzo nie lubią, kiedy kładzie im się go łopatami do głowy. A łopaty są dwie, olbrzymie, drewniane”. (str. 10).

Dalsze zastrzeżenia nasuwa styl. Sili się on na zwięzłość i prostotę, ale w momentach wzruszających staje się nieznośnie patetyczny i górnolotny. W tym skrzyżowaniu stylu dziennikarskiego i przemówień „porankowych” i dorosły czuje się nieswojo, a cóż dopiero dziecko. Oto parę przykładów: „Zima się kończy, dogorywa, ta, ta. Wówczas zaczyna się przedwiośnie. Jest to okres dokuczliwy, smutny, zalany deszczem, spierzający w niebo oczami kota”. (str. 21). „W Łowiczu blasku i chwały dodają procesji bajecznie kolorowe kostiumy wieśniaczek i wieśniaków, są to tak zwane kostiumy łowickie. W Modlinie to samo wrażenie sprawiają kostiumy ludu krakowskiego. Przyjeżdżają z zagranicy i z Ameryki ludzie, żeby filmować te procesje. Jeśli procesja łowicka w ogólnym kolorowicie, w ogólnej barwności swojej jest raczej czerwona, to procesje w Modlinie są raczej niebieskawe...” i t. d. (str. 52). Pominąwszy już, że wolałabym czytać o strojach krakowskich i łowickich niż o „kostiumach”, które nasuwała myśl o jakiejś maskaradzie, cała ta kolorytowa historia, czy to dla dzieci, czy też dziennikarski reportaż?

Poszczególne bajki są też bardzo nierówne: obok żywych i uduchowanych krakowskich, o Lajkoniku, Rękawie, Smigusie, — podręcznikowe i konwencjonalne o górnikach i Gdyni, żeby nie wspomnieć „Babiego lata”.

Tak na każdym kroku mści się, że autor tak lekko potraktował swe prace i w tak mało harmonijnym stanie wypuścił ją na świat. A szkoda, bo jeśli już różne racje pozwalają na książkę dla maluchów, niechżeby była trochę staranniejsza, zwłaszcza że i autor, stary gawędziarz-krakowianin, ma w pamięci swej skarbnicę wydarzeń i opowiadań, któreby warto wydobyc na światło dzienne i ocalić dla przyszłości.

Nie lekko potraktował swe zadanie ilustrator. Obrazki Kowalewskiego, doskonałe skomponowane, zwarte w formie, a zarazem pełne ruchu i wesołości, są prawdziwą i trwałą wartością tej książki.

Róża Fischer-Pinnerowa

Czy izolacjonizm już nie żyje?

Na pytanie to odpowiada przecząco korespondent z Ohio w numerze z 3 czerwca londyńskiego tygodnika „The Economist”.

„Miało złudzeń na temat dzisiejszej amerykańskiej opinii publicznej mogłoby być bardziej niebezpiecznymi, niż przypuszczenie, że izolacjonizm jako siła polityczna zmarł na zawsze po Pearl Harbour, albo też że jedynymi okolicznościami, nawiedzonymi przez tego ducha, jest Midwest. Izolacjonizm nie umarł, lecz zdzremnął się. Choć mnożą się obecnie znaki w całym kraju, świadczące o jego czujności. Prasa izolacjonistyczna również dobrze w Nowym Jorku, jak w Waszyngtonie czy w Chicago ma większe nakłady niż gazety o kierunku, dążącym do ściślejszej lub luźniejszej polityki międzynarodowej. Ostatniej niedzieli nakład arcyizolacjonistycznej „Chicago Tribune” po raz pierwszy w historii gazety przekroczył 1.350.000 egzemplarzy. Tego samego dnia opanowane przez ksenofobię nowojorską „Daily News” sprzedały ponad 3.850.000 egzemplarzy — niemal że trzy razy tyle co łączny niedzielny nakład „New York Timesa” i „Herald Tribune”.

Większość izolacjonistów, w gruncie rzeczy niezmiennych, nie należy do żadnych organizacji — organizatorzy z wyjątkiem Gerarda Smitha i partii Ameryka Przede wszystkim („America First Party”) czekają na koniec wojny, licząc na nową powojenną ogólnonarodową zmianę opinii, podobną do tej, jaka przyszyła w r. 1919. Ale pogłosy ich opinii, często ignorancie, choć tym niemniej znamienne, — można słyszeć w rozmowach barowych i restauracyjnych. Można wykryć nutę izolacjonizmu na niezliczonych nużących zebraniach publicznych, poświęconych tematowi „Jak możemy wygrać pokój”, w ostatnich dyskusjach na tematy powojenne, w sceptycznych czy cynicznych listach do redakcji...

W miarę jak zbliża się okres wyborów prezydenckich, coraz więcej przywódców republikańskich zaczyna dawać wyraz swoim wątpliwościom na temat powojennego planowania i podejrzliwości co do Rosji Sowieckiej...

Wzrost Republikanów przy wyborach działa na Prezydenta hamująco w wykonywaniu polityki zagranicznej. Nie chcąc dostarczyć opozycji hasła do kampanii wyborczej, prez. Roosevelt zarówno jak i sekretarz stanu Hull ograniczają się do nieokreślonych ogólników w dyskusowaniu problemów i odpowiedzialności powojennego świata. Ta zaś powściągliwość jest znowu jednym z dwóch głównych powodów, dla których duch izolacjonizmu wzrasta. Drugi powód — to rozwój wydarzeń politycznych zagranicą, przede wszystkim we Wschodniej Europie.

(W Stanach Zjednoczonych istnieją po dziś dzień trzy główne typy izolacjonistów: 1) tradycyjny i najpopularniejszy typ, przeżytek kresowca, który boi się „uwikłania w sprawy zagraniczne”, wierzy iż jest bezpieczniej pomiędzy dwoma oceanami i uważa, że długa zwłoka w inwazji Festung Europa poprzez Kanał potwierdza jego

wiarę; 2) umiarkowany izolacjonista, który w r. 1939 na siłę chciał wierzyć, że „to jest wojna, do której możemy nie przystąpić”, ale który zrozumiał swój błąd i uznał go — po upadku Francji; 3) „izolacjonista z zastrzeżeniem”, który uważa, iż Stany Zjednoczone powinny razem z innymi narodami, mówiącymi po angielsku, bronić się przy pomocy swych sił morskich i powietrznych, ale nie powinny dać się „wciągnąć” do walk lądowych na kłóliwym kontynencie.

Na wszystkie te trzy typy w różnej mierze wpłynęły polityczne wydarzenia zagranicą oraz milczenie i zamieszanie w amerykańskiej polityce zagranicznej. Po Konferencji w Teheranie zasunęto kurtynę oficjalnego milczenia. Tym niemniej jest rzeczą oczywistą, że Wielka Trójka nie znalazła konkretnego wyrazu dla „różnych życzeń i świadomości światowej rodziny narodów demokratycznych” — żeby użyć języka z Teheranu. Większość Amerykanów, zarówno izolacjonistów, jak i zwolenników współpracy międzynarodowej, jest zaniepokojona skłonnością Stalina do gry politycznej na własną rękę we Wschodniej Europie, niezależnie od jego moskiewskich zobowiązań. Niewielu Amerykanów twierdzi, że wie, co zrobić z Niemcami po wojnie, ale nikt z nich z wyjątkiem komunistów i ich sympatyków, nie uważa, iż danie Polsce Prus Wschodnich jako odszkodowania „na otarcie łez” za zgodę na rosyjskie pretensje terytorialne we Wschodniej Polsce przyczyni się do trwałego pokoju. Jeśli idzie o Włochy to ciernisty labirynt zarówno rosyjskiej, jak i anglo-amerykańskiej polityki wobec reżimu Badoglio nie mieści zaskakuje zarówno naszych zwolenników współpracy międzynarodowej, jak i izolacjonistów, ale — oczywiście — zwolennikom współpracy sprawa więcej kłopotu. Jeśli zaś idzie o Kartę Atlantycką, to wielu korespondentów zagranicznych, którzy jeździli po Stanach Zjednoczonych z odczytami, twierdzi, że Amerykanie na ogół uważają ten dokument dzisiaj za martwą literę.

Umiarkowani izolacjoniści, którzy w ciągu czterech ostatnich lat szerzej popierali politykę zbiorowego bezpieczeństwa, są zmieszani i rozczarowani. Probrytyjscy izolacjoniści morscy są zaniepokojeni objawami powrotu Londynu do polityki równowagi sił. Izolacjoniści z krwi i kości, którzy nigdy nie przestali wierzyć, że „to nie jest nasza wojna”, dzisiaj śmieją powtarzając swoje „a nie mówilem?”.

Izolacjonizm jako siła polityczna jest jeszcze w mniejszości, nie ze wszystkim przyszedł on jeszcze do siebie po ciosie, jaki mu zadał Pearl Harbour; zresztą jest jeszcze wojna do wygrania. W tej chwili nie jest on zbyt skryzalizowany politycznie. Ale konflikt między obietnicami i dokonaniami w politycznym prowadzeniu wojny zaczyna mu pozwalać przychodzić do głosu. A ciemności, w jakich pogrążona jest amerykańska polityka zagraniczna, sprawiają, że izolacjonizm zyskuje zwolenników z dnia na dzień.

OPINIE ANGIELSKIE

Światła z Podziemi

„Światła z Podziemi” to tytuł książki, wydanej w czerwcu 1944 r. w Londynie nakładem członków Stronnictwa Ludowego. Wydawcy zebrali najbardziej charakterystyczne artykuły, jakie się ukazały w ciągu ostatnich paru lat w ludowej prasie podziemnej w Polsce.

Tytuł jest podwójnie trafny. Lux in tenebris lucet. Tam w Polsce, „u kresu nocy” i rozpacz jasniejsze światło wolności. Bo czym innym jest prasa podziemna, jeśli nie wolnością i swobodą myśli, silniejszą niż przemoc niemieckich zbirów? Ale można ten tytuł skomentować jeszcze inaczej. Światło jasniejsze z podziemi na zewnątrz. Normalnym biegiem rzeczy powinno być odwrotnie. Światło z zewnątrz powinno przenikać do podziemi. To emigracja, żyjąca w idealnych dla rozwoju warunkach, powinna oświecać tych, którzy w Polsce, w atmosferze walki i ucisku, nie mają — zdawałoby się — możliwości twórczego myślenia. Wiem, że jest to symplifikacja bardzo zawilego problemu, ale chodzi mi o pokazanie dysproporcji pomiędzy osiągnięciami myśli ludowej w Polsce i na emigracji. Tam — jest ona oryginalna i żywa. Tu — raczej przetworzona i ostrażona. I w tym sensie jest tytuł tej książki paradoksem.

Książka jest podzielona na szereg rozdziałów: „Spojrzenie wstecz”, „Ku Polsce Ludowej”, „Z zagadnień ustrojowych”, „Z zagadnień gospodarczych”, „Kultura jutra”, „Wobec Ukraińców i Czechosłowacji” i t. d. Każdy z tych rozdziałów zawiera, parę artykułów, wybranych z ludowej prasy podziemnej. Rzeczowo, inteligentnie i systematycznie uszeregowano problemy. Wydawcy nie zapomnieli o niczym. Ale, co dziwniejsza, prasa ludowa z kraju odpowiada na wszystkie pytania. Ta skala zainteresowań: rozpiętość poruszanych tematów i ich poziom — zdumiewa nas, przyzwyczajonych do jałowej dorobku publicystycznego londyńskiej emigracji.

Leitmotywem tych rozmaitych artykułów — a mogą zapewnić czytelników „W Drodze”, że są one dobrym przekrojem prasy podziemnej — są słowa Deklaracji Ideowej Ruchu Ludowego: „Nie można gruntownie polepszyć warunków międzyludzkiego współżycia, jeśli nie zmieni się zasad moralności społecznej. To też moralność znikającego świata niesprawiedliwości społecznej, potwierdzająca wyzysk człowieka, moralność niezapracowanego użytku i nadużycia, — z drugiej zaś strony moralność nienawiści i zemsty wyszyskanych i krzywdzonych — musi zniknąć ze stosunków międzyludzkich”.

Parę razy jasno i dobitnie zajmuje Ruch Ludowy stanowisko wobec obecnej konstytucji. „Ustawa ta musi być zmieniona!” pisze miesięcznik „Polska Ludowa” w sierpniu 1943 r., a ten kategorycznie negatywny ton powtarza się wielokrotnie w tym i w innych artykułach.

Na tle „Światła z Podziemi” większość londyńskich wydawnictw wydaje się prowincjonalna, bez poziomu i bez widnokreślów. I to także jest paradoksem. Wydaje mi się — bezstronemu obserwatorowi — że źródło zła leży w poczuciu siły. W świadomości, że masy chłopstwa w kraju, zorganizowane lepiej niż kiedykolwiek, zmożą siłą ciężkości wszelkie opory: że tutaj nie warto o tym myśleć i nie warto się użerać. Jest to niebezpieczna wiara. Siła ciężkości nazywa się w fizyce inaczej, siłą bezwładności, a poczucie siły już raz zawiódło masy polskiego chłopstwa. „Ruch chłopski już się nie cofnie! Nie może być rządu w przyszłej Polsce, któryby chciał rządzić mimo chłopów, lub wbrew chłopom”. (Z miesięcznika „Żywią i Bronią”, grudzień 1942). Być może?! Ale tylko jeśli wola mas chłopskich pójdzie w parze ze zrzeczeniem ich reprezentacji politycznej. Każda inna wiara jest „wishful thinking”. Potęga współczesnej maszyny państwowej jest silniejsza niż najsilniejszy ruch chłopski. Chłopi, którzy tego już raz na własnej skórze doświadczyli, nie powinni o tym zapomnieć.

„Ta niechęć ku rządowi chłopskiemu jest wielką chorobą polską. Nawet w opinii ultraradykałów „rola pomocnicza”, „rola szerokości rezerw”... i liczne zdobycze kulturalne — lecz w polityce chłopom należy się: radykalna reforma rolna („Żywią i Bronią”, grudzień 1942). Ten trick już w kraju „nie chyci!” Ale dlaczego „chyci!” w Londynie? Dlaczego dopuszcza się do tej orgii antychłopskiej propagandy? Dlaczego ministrowie chłopscy są pod wiecznym ostrzałem potwarzy, plotek i insynuacji, na które nikt nie odpowiada i których nikt nie paruje? Dlaczego ta dumna, romantyczna wyniosłość, bardziej szlachetka niż chłopstwa? Poczucie własnej siły? Ale siła — jak stwierdziliśmy — jest rzeczą względną. Jeśli slogan „Przeżyliśmy Mikolajkę, przeżyjemy Mikolajczyka”, lajdacki i niegodziwy slogan, rzucany wiadomo przez kogo i wiadomo po co, szerzy się tutaj, pokazuje to dowodnie siłę propagandy, którą umieją walczyć inni, a którą lekceważą sobie ludowcy.

Obserwujemy na przykładzie dwu wielkich anglosaskich demokracji zalety systemu dwupartyjnego. System, w którym dwie wielkie partie są ostoją siły państwowej i demokracji, t. j. tych czynników, których nam przed wrześniem 1939 r. brakowało. I w Polsce może być podobnie. Chłopi i robotnicy — oto dwie grupy, które są zdolne stworzyć dwie wielkie partie. Prawicę i lewicę. Partie wielkie nie koniunkturą demagogicznych sloganów, ale masami, na których mogą się oprzeć. A do tego partii dostatecznie zróżnicowane, aby zachować zbawienny kontrast sił i myśli: Rząd i najlegalniejszą opozycję!

Nowa konstytucja

W uzupełnieniu powyższego ustępu pragnę zacytować wyjątek z przemówienia premiera Mikolajczyka, ogłoszonego na uroczystym obchodzie święta ludowego 1 czerwca 1944 r.:

„... W chwili obecnej mamy bowiem dwie konstytucje: jedna formalna, legalnie nas jeszcze obowiązująca, i druga — pisana w podziemiach i wykuwana w walce. Ta druga konstytucja idzie ku nam...”

Powstanie ona w walce, a jej pierwszy paragraf urodził się w ostatnich dniach oblężenia Warszawy. Zebrali się wówczas w stolicy przedstawiciele ugrupowań demokratycznych: Niedziałkowski — socjalista, Rataj — ludowiec, Kwieciński — komuniści. Pracy i

imieniu Stronnictwa Narodowego. Nowy ruch polityczny, zapoczątkowany przez przedstawicieli stronnictw, przerodził się w prawdziwy rząd Polski podziemnej. Był to samorządny odruch ratowania i tworzenia zrebów państwowości polskiej.

Drugim paragrafem nowej konstytucji jest Deklaracja Ideowa Rządu R.P. w Paryżu z grudnia 1939 r.

KRONIKA FILMOWA

NIEDOKOŃCZONA PODRÓŻ

Film o ś. p. gen. Wł. Sikorskim.

Podczas uroczystych akademii, jakie odbyły się w miastach palestyńskich w rocznicę tragicznego zgonu gen. Wł. Sikorskiego, wyświetlono nadesłany z Anglii niewielki film p. t. „Niedokończona podróż”. Realizatorem jego było Zrzeszenie Filmowców Polskich w Anglii, tekst przygotował Ksawery Pruszyński, mówił go zaś Antoni Słonimski.

O tym krótkim obrazie, przygotowanym najprostszymi środkami, zaopatrzonym tylko w speakerkę, a prawie pozbawionym podkładu dźwiękowego, obrazie, składającym się z powycinanych zdjęć dokumentarnych, trzeba powiedzieć, iż jest doskonały. Jest prawdopodobnie najlepszym filmem polskim od wybuchu wojny. Na widzach i słuchaczach zrobił ogromne wrażenie — wielu ludzi płakało.

Ów piękny wynik osiągnięty dzięki zaproszeniu do współpracy dwóch znanych pisarzy. Film otrzymał koncepcję literacką, został starannie skomponowany i ta właśnie strona literacka zadecydowała o jego wartości, gdyż zdjęcia, poza poprawnością, niczym się nie wyróżniają. Wzrost czysto filmowy obrazu jest raczej skromny. Powinno to być wskazówką, iż publiczność oswoiła się już z efektami formy filmowej i zwraca się coraz bardziej ku treści filmu, ku artystycznym gry i słowa. Tych zaś rzeczy nie osiągnie się nigdy, powierając film tylko ludziom, którzy są jedynie organizatorami produkcji, a nie artystami w pełnym znaczeniu tego słowa. W filmie współczesnym rola reżysera, kierownika literackiego i t. zw. „art director” jest już niemal równorzędna artystycznej, choć reżyser zachowuje naczelną stanowisko organizacyjne.

Jedynym zastrzeżeniem, jakie może budzić bardzo dobry na ogół tekst Pruszyńskiego, jest przesadne akcentowanie „nowej Polski”, jaką ma powstać po wojnie. Robi to wrażenie, jak gdyby między przyszłością, a przeszłością nie istniała żadna tradycja, jakbyśmy się wypierali wszystkiego, co ze „starej Polski” pochodzi.

A. Słonimski, który w recytacjach swych własnych wierszy, nagranych na płycie, nie miał sukcesu, tu okazał się znakomitym speakerem filmowym, o pięknym, niskim, poważnym i męskim głosie, dystansując nawet Wojcieckiego. Ale często właśnie autor mówi źle swój tekst własny, i do brze — tekst obcy.

J. M.

KORESPONDENCJA

Do redaktora „W Drodze”

W kronice filmowej „W Drodze” z 16 maja b. r. nr. 10 (28), ukazał się artykuł p. Jana Martyki p. t. „Nowy film polski”

Jako współautor omawianego w recenzji filmu „Miejsce postoju Adama i Ewy” prosił Pana Redaktora, dla sprostowania szeregu nieścisłości, o zamieszczenie mego listu w kronice filmowej dwutygodnika „W Drodze”

Oporając się na założeniu, że „nazwisko bardzo oficjalne pokryło pomysł i pracę dwóch ludzi”, dzieli p. Martyka film na dwie zasadnicze części:

1) „Reportażowy wycinek z przygotowań wojennych”, który „sprawia jak najlepsze wrażenie” i 2) „dodane scenki”, będące „fatalnym obciążeniem strony artystycznej i propagandowej”.

Dalej p. Martyka stwierdza, że film ten, to „przerobiony, zeputy, zdeaktualizowany rupieć”, nie mający żadnej wartości — nawet handlowej, — a ponadto bardzo podejrzane są tendencje polityczne tego filmu.

A więc wyjaśniam p. Martyce, że żadne „oficjalne nazwisko” nie przykrywa pracy i zasług innych. Wszyscy współpracownicy zostali uwidocznieni w napisach, zapowiadających film.

Do filmu „M. P. Adama i Ewy” nie weszło ani jedno zdjęcie z manewrów, które się odbywały na terenie Iraku w czasie pobytu N. W. śp. gen. br. Wł. Sikorskiego, natomiast reportaż poświęcony tej wizycie, objął 90% zdjęć z ćwiczeń bojowych, specjalnie organizowanych do filmu o A.P.W. w Iraku.

Po wywołaniu i skopiowaniu całego materiału filmowego, przywiezionego z Iraku, okazało się, że jest on za szczytu do wypełnienia ram, zakreślonych scenariuszem. Ponadto wiele ustawień było ujętych zbyt krótko, a inne były niekompletne z racji braku surowca w pierwszym okresie pracy i wykorzystywania większej części ćwiczeń do filmu o gen. Sikorskim oraz do angielskich aktualności filmowych. Do filmu zakwalifikowano zdjęcia dokumentarne z Iraku o łącznej długości 350 metrów.

Sceny z manewrów, które znalazły uznanie w oczach p. Martyki, były w 90% inscenizowane na terenie Palestyny we wrześniu i październiku 1943 r. „Dodane scenki”, które są wedle zdania recenzenta niepotrzebnym balastem, wydobywają w rzeczywistości właściwą wartość zdjęć dokumentarnych. Bez tych „dodanych scen” nie zauważyłby p. Martyka na ekranie scen deszczowych, dorabianych w studio, ani też zrywającego namioty hamisnu, podniesionego do potęgi żywiołu przez udział 2 Liberatorów na jednym z lotnisk pod Kairem.

W dalszym toku swych rozważań twierdzi p. Martyka, że film ten nie posiada żadnych wartości handlowych ze względu na swój metraż.

A więc długość filmu została ustalona po dokładnym zapoznaniu się z potrzebami rynku filmowego i konstrukcją programów kinowych. Wersja angielska tego filmu została zrobiona na skutek sugestii Brytyjskiego Ministerstwa Informacji, interesującego się tokiem naszych prac filmowych. Po obejrzeniu wersji polskiej filmu „M. P. Adama i Ewy” przez fachowców angielskich, Bryt. Min. Inf. zamówiło 10 kopii tego, fil-

nia 1939 r. W czasie wojny decyduje nie tylko technika, lecz i czynniki moralne. Deklaracja ideowa rządu dawała wyraz tym czynnikom moralnym i tworzyła wizję przyszłej, nowej, demokratycznej Polski.

Trzecim paragrafem tej konstytucji był rozkaz Komendanta Armii Krajowej z 1 stycznia

mu ze speakerką angielską w niezmniejszonym metrażu 1200 metrów — na wzór „Desert Victory” lub „Prelude of War”. Podam dla informacji p. Martyki, że programy w zeroekranowych kinach są składane w sposób następujący: tygodnik aktualności — 10 minut, film średniometrażowy, dokumentarny lub propagandowy — 35—40 minut, film rysunkowy — 10 minut, przerwa — 5 minut. Po przerwie — film rozrywkowy, trwający od godziny do półtorej godziny.

Tyle co do strony handlowo-programowej. Przy sposobności będę mógł przysłać wykaz kin w różnych państwach z dokładnym uwzględnieniem frekwencji.

Natomiast jest jedna sprawa o bardzo niedwuznacznym charakterze. Po rozprawieniu się z filmem i jego realizatorami pisze p. Martyka: Przy tej sposobności wartości... usunąć pewne drobne niedopatrzanie polityczne. Otóż w filmie, pokazującym odrodzenie Armii Polskiej po klęsce wrześniowej, widać różnych dowódców angielskich i polskich, nie widać natomiast ani razu twórcy tego odrodzenia ś. p. gen. Sikorskiego. Są zdjęcia defilad przed padłym na posterunku Naczelnym Wodzem, Jego nie ma. Wycięto. Jakimi nożycami?!”

Co za patos.

A więc, panie Martyka, film „M. P. Adama i Ewy” nie obrazuje odrodzenia Armii Polskiej po klęsce wrześniowej, a obejmuje jedynie okres szkolenia Armii Polskiej na Wschodzie na terenie Iraku w czasie od września 1942 do czerwca 1943 r.

Nie ma w tym filmie „różnych dowódców angielskich i polskich”, a są jedynie dwie sceny, ściśle związane z pobytem A.P.W. w Iraku, w których widzieliśmy Gen. Pownalla, dowódcę Paiforce'u, i Gen. Andersa, dowódcę A.P.W.

Dalej — nie ma w tym filmie zdjęć z defilad przed padłym na posterunku Naczelnym Wodzem. Wszystkie wzmiankowane defilady weszły uprzednio do filmu, poświęconego wizycie gen. Sikorskiego na Śr. Wschodzie.

Ignacy Jeśman

Katr, 25. V 44.

Na list ten autor recenzji odpowiada, co następuje :

List p. Jeśmana kwestionuje następujące uwagi krytyczne, jakie poczyniłem o propagandowym obrazie wojskowym p. t. „Miejsce postoju Adama i Ewy”: 1) że film ten jest spóźniony, 2) że obciążają go dorabiane w Kairze scenki anegdotyczne, 3) że wskutek swych rozmiarów, nie dostosowanych do potrzeb rynku, napotyka na trudności w eksploatacji, 4) że pominął osobę gen. Sikorskiego.

Otóż trzeba przypomnieć, że film 40-minutowy nie jest ani nadprogramem, ani t. zw. pełnym metrażem. Przedstawiona przez p. Jeśmana artystyka zawodzi: jeżeli zsumujemy, tak jak sobie tego życzy, 10 minut aktualności, 10 minut kreskówki, 5 minut przerwy, półtorej godziny filmu rozrywkowego, — otrzymamy dwu i półgodzinne widowisko. Tego kina nie stosują. Wreszcie rzecz rostrzgnięta: propaganda rozlewała jest złą propagandą. Resztę oddajmy pod sąd czytelników, którzy będą mogli decydować, czy poszliwy, na seans kinowy, którego główną atrakcją jest film 40-minutowy, lub czy znieśliłby po aktualnościach z inwazji 40 minut filmu o deszczu w Iraku.

P. Jeśman patrzy na swój film od strony kulis produkcji. Widz nie wie, czy zdjęcia hamisnu wykonano w Kairze, czy w Irackiej pustyni. I nie pragnie o tym wiedzieć. I nie go to nie obchodzi. Dla widza i krytyka ważne jest, iż właśnie reportażowa część zdjęć jest interesująca, a wkładka anegdotyczna niefortunna — tym bardziej że przedstawia ona żołnierza jako półgłówka, na wzór groteskowych typów Dymusz lub Sielańskiego z warszawskich płaskich fars. Gdyby nie poświęcono na to czasu, film byłby gotów o wiele rychlej. Jeśli zaś mamy już zważać efekty hamisnu zdjęciem w Kairze, trudno postrzynać się od zdziwienia, czemu nie zrobiono tego wcześniej. Czemuż nie zrealizowano owego filmu o Iraku od dawna, skoro tak mało — według wyjaśnień p. Jeśmana — Irak był do tego potrzebny.

Uwagi o zdjęciach dla filmu o gen. Sikorskim nie są przekonujące. Czyż nie byłoby prościej powiedzieć, iż ze zdjęć z ćwiczeń, związanych z wizytą Generała, oddano 10 procent na inny cel, niż twierdzić, że 90 procent zdjęć z filmu o A.P.W. weszło do obrazu o gen. Sikorskim? Jeśli rzecz w 9/10 jest czarna, mówimy że jest czarna, a nie biała.

Obrona pominięcia postaci gen. Sikorskiego wydaje mi się przykra i źle świadcząca o wyczuciu walorów propagandowych ze strony kairskiej komórki filmowej. Nikt nie zaprzecza poważnym zasługom dowódców wojska polskiego w Iraku, lecz stąd nie wynika jeszcze wniosek, by wolno nam było rezygnować z takiego atutu propagandowego, jakim wobec zagranicy jest i będzie postać ś. p. gen. Wł. Sikorskiego. Jego decyzjom zawdzięcza A.P.W. swoje istnienie. On zapłacił życiem za chęć odwieńdzenia żołnierza w przededniu zbliżenia się do teatru wojny. Mały jest człowiek, który o tym zapomina, zły jest propagandzista, który tego wszystkiego nie umie wykorzystać. Zapomnienie o gen. Sikorskim było politycznie — nietaktowne, propagandowo — dużym błędem.

I teraz rzecz najgorsza. W chwili gdy żołnierz polski pod Cassino dał świadectwo ducha bojowego, jakiego potrafił w nim wykształcić jego Dowódca, nasza propaganda ofiaruje światu film o deszczach i piaskach. Żyjemy jakby półtora roku wstecz. Tego opóźnienia, tego żółtego tempa nie naprawią i nie usprawiedliwią żadne wyjaśnienia.

Jan Martyka

Na tym polemikę zamykamy

Redakcja.

1942 r. Rozkaz ten, zgodnie z naszymi przekonaniami, stwierdzał, że armia może być tylko zbrojnym ramieniem narodu, nie wolno zaś jej używać do walk politycznych. Mówi się obecnie tu i tam: „Jest nas dziś 100.000, jutro będzie milion. To będzie ta siła, która zadecyduje o przyszłych rządach Polski”. Musimy tu stwierdzić, — nie ma powrotu do rządów wojskowych. Politycznie uświadomione masy narodu polskiego nie zezwolą na takie rządy, unicestwią takie próby w zarodku.

Czwartym paragrafem konstytucji jest Deklaracja Ideowa Rządu R.P. z lutego 1942 r. Podkreśla ona, że elementy istotnie demokratyczne będą podstawą przyszłej Polski.

Wreszcie piątym paragrafem konstytucji, tworzonej w walce, jest porozumienie czterech największych stronnictw politycznych w Kraju, reprezentujących politycznie zorganizowane masy, porozumienie z dn. 15 sierpnia 1943 r. Zdarza się, że czasem ze względów koniunkturalnych tworzą niektórzy organizacje i określają wytyczne. Lecz dekret o organizacji kraju z września 1939 r., jako wynik półrocznej wymiany myśli między Rządem a Krajem, wykazał, że nie dla koniunktury normowano przepisy prawne. Czyniono tak zgodnie z decyzją i głęboką wolą całego społeczeństwa...”

Trade Uniony

„Team spirit” jest zdaniem Anglików ich najbardziej charakterystyczną cechą narodową. Ludzie z kontynentu kojarzą to określenie z czymś bardzo konserwatywnym. Tak konserwatywnym, że aż tracącym reakcją. Nie ulega wątpliwości, że ów „team spirit” bierze swój początek w tradycji politycznej prawicy społecznej. Public Schools — zakłady naukowe, które wykształciły dotychczas całą niemal warstwę rządzącą Anglii — są oparte o ową zasadę współpracy zespołowej („Bitwa pod Waterloo została wygrana na polach criketowych Eton” — te słowa, które legenda przypisuje Wellingtonowi, miały oznaczać, że to „team spirit”, wpojony młodzieży angielskiej w Eton, wygrał bitwę pod Waterloo).

Jednak „team spirit” nie jest, jak sobie to obcy wyobrażają, przywilejem jednej warstwy społecznej. Spotyka się go w Anglii na każdym kroku. Uwielbienie gier zespołowych, jak football lub criket, i Trade Uniony, oto dwa klasyczne tego przykłady. Czyż można się więc dziwić, że w tym kraju, który współpracę zespołową postawił na piedestale cnoty narodowej, Trade Uniony są taką potęgą?

W Polsce Związki Zawodowe nie odgrywały poważniejszej roli. Nawet w P.P.S. nie były one główną sprężyną aktywności politycznej czy społecznej. To samo było w innych krajach kontynentu, gdzie Związki Zawodowe powstawały dopiero pod wpływem wcześniej założonych organizacji socjalistycznych. W Anglii było przeciwnie. Naprzód powstały Trade Uniony, a z nich dopiero wyrosła Labour Party.

Początki Trade Unionów sięgają końca XVIII wieku, gdy klasa robotnicza, rozrastająca się pod wpływem rewolucji przemysłowej, znalazła swych przywódców i ideologów. Już bardzo wcześnie ludzie o czułym sumieniu społecznym, których w Anglii nigdy nie brak, odważnie potępili straszliwe warunki, w których robotnicy — a zwłaszcza kobiety i dzieci — żyli i pracowali. Zmusiło to rząd do wprowadzenia ustaw, regulujących warunki pracy. Nazwiska tych pierwszych apostołów idei społecznej są dzisiaj własnością angielskiej historii. Robert Owen, Richard Oastler, Francis Place, John Doherty, oto główni z nich.

Te historyczne początki choć zasadniczo bardzo ważne, długo jeszcze nie miały większego znaczenia praktycznego. Aż do ustawy z 1824 r. zrzeszanie się w związki zawodowe było w Anglii rzeczą nielegalną, a nawet w 10 lat później skazano grupę robotników rolnych, t. zw. „meceników z Tolpuddle”, na deportację za „sprzysiężenie się”. Z tych czasów, gdy Trade Uniony były czymś nielegalnym i prześladowanym, datują się ich dziwaczne masonskie rytuały i anachroniczne godła.

Dopiero druga połowa XIX w. przynosi wzrost Trade Unionów i ich wzmagające się wpływy polityczne. Pierwszy kongres Związków Związków, zjechał się w Manchesterze w r. 1868, a pierwsi Trade Unioniści zasedli w Izbie Gmin (jako posłowie partii liberalnej) w r. 1875.

Drobne partie polityczne i frakcje poczęły się tworzyć w łonie i na peryferiach Trade Unionów. Social Democratic Federation, Fabian Society i wreszcie w r. 1893 Independent Labour Party, założona przez Trade Unionistę Keir'a Hardie.

Do dziś dnia są Trade Uniony trzonem Labour Party i jej finansową podporą. Tyle tylko, że podczas gdy dawniej — bardzo dawno temu — były ruchem rewolucyjnym i „niebezpiecznym”, to dzisiaj stanowią prawicę Labour Party. Herbert Agar tak pisze o nich w swej książce „A Time for Greatness”, którą omówiłem w numerze 6 „W Drodze” (z dn. 16 czerwca ub. r.): „Brytyjskie Trade Uniony pracują gładko... ponieważ Trade Unionizm został zaakceptowany jako instytucja tak dawno temu, że społeczeństwo przekonało się, że nie jest on ruchem rewolucyjnym, lecz konserwatywnym. Nie „sprawia on kłopotów”, ale usuwa kłopoty. Nie podnieca antagonizmów klasowych, ale je zmniejsza”.

Jest to niewątpliwą prawdą, ale... niezupełną prawdą. Prawicowość Trade Unionów wywołana reakcją w łonie samego Związku. Oficjalna machina związkowa, T.U.C. (Trade Union Congress), jest zachowawcza, ale dół, szara masa robotnicza, nie zawsze idą na pasku T.U.C. Delegaci robotników, t. zw. shop stewards, nie zajmujący oficjalnych stanowisk w machinie związkowej, zrzeszyli się ponad głowami — a może nawet wbrew woli — „bossów” T.U.C. To półoficjalne zrzeszenie shop stewards występuje bardzo często przeciw rozkazom i wskazaniom z „góry”. Przykładem rozmaite wystąpienia polityczne o drugi front, które były wynikiem wpływów komunistycznych, łamiących solidarność związkową.

H. S. Dominik

PRZEGLĄD POLITYCZNY

Jak to się dzieje, że podczas gdy wojska rosyjskie posuwają się o setki kilometrów i dzień w dzień zajmują po wiele setek miejscowości, wojska brytyjskie i amerykańskie w Normandii z trudem i mozolem muszą sobie wywalczać każdy kilometr terenu? Czyżby Anglicy i Amerykanie walczyli o tyle gorzej od Rosjan? Czy też może Niemcy wycofują się na froncie wschodnim z własnej woli na krótsze linie, a wielkie zwycięstwa rosyjskie są tylko wymysłem propagandy sowieckiej?

I jedno, i drugie przypuszczenie jest oczywiście błędne. Klucz do odpowiedzi znaleźć można w niemieckich hasłach propagandowych. Hasłach sprzed kilku tygodni, dziś bowiem Niemcy raczej niechętnie do tych spraw wracają.

Wtedy jednak propaganda niemiecka z naciskiem twierdziła, że najważniejszym, jedynym naprawdę ważnym frontem jest front zachodni. W pierwszych dniach kłęk niemieckich na froncie białoruskim tłumaczono Niemcom, że kłęk ten nie mają politycznego znaczenia. Ze tym mniej znaczą kłęski na froncie włoskim. Ze naprawdę ważnym frontem, który może przynieść rozstrzygnięcie polityczne, jest front zachodni. Ze po zwycięstwie na tym, zachodnim froncie Niemcy będą mogli się skutecznie bronić także i na innych i opanować na nich sytuację.

I rzeczywiście, nie trzeba było wielkim strategiem, żeby zdawać sobie sprawę z tego, że spośród wszystkich trzech frontów front zachodni był tym, na którym Niemcy mogli z największą dozą prawdopodobieństwa liczyć na odniesienie sukcesów. Przede wszystkim front zachodni to jest front krótki. Najkrótszy ze wszystkich trzech. Stąd nawet przy dzisiejszych wielkich trudnościach z rezerwami Niemcy mogą sobie na tym froncie pozwolić na dużą koncentrację zarówno żołnierzy, jak artylerii i czołgów. Na froncie tym znajdują się silne i od dawna rozbudowane niemieckie umocnione stanowiska. Należnością bowiem byłoby przypuszczenie, że fortyfikacje Waleu Atlantykowego ograniczają się do kilku kilometrów wybrzeża. I trzeba wręcz wzięć pod uwagę jeszcze jeden wzgląd, bodaj że najważniejszy. Gdyby Niemcom udało się na froncie wschodnim odeprzeć wojska rosyjskie na 20-30 km. na wschód, to także przesunięcie się linii frontu samo jeszcze w ogólnej sytuacji frontowej niewiele co by zmieniło. Takie same postępy w Normandii oznaczałyby zepchnięcie wojsk Sprzymierzonych do morza, a zatem fiasko inwazji.

Dlatego właśnie Niemcy ścignęli na front francuski dywizje m. in. i z Rosji i dlatego sukcesy Sprzymierzonych na tym froncie — zdobycie Caen i postępy u podstawy półwyspu Cherbourgskiego — mimo że ani w części nie tak efektowne jak postępy rosyjskie, stanowią dla Niemców ciężką klęskę. Oznaczają bowiem, że razem z Walem Atlantykowym w grzyby wala się tutaj ich plany strategiczne. Na żadnym bowiem z frontów czas tak skutecznie nie pracuje na korzyść Sprzymierzonych, jak właśnie tutaj. Brytyjczy i amerykańscy inżynierowie gorączkowo pracują nad naprawą portu w Cherbourgu. Zdobyte terenowe oznaczają tu dla wojsk Sprzymierzonych zwiększenie możliwości manewrowania, większe możliwości zakładania lotnisk. W miarę postępów wojsk Sprzymierzonych front ten się też wydłuża. Dla Sprzymierzonych, którzy skoncentrowali w Anglii ogromne rezerwy, oznacza to zwiększenie możliwości operacyjnych. Ale dla Niemców oznacza to zaostrenie najtrudniejszego dla nich w tej chwili problemu, problemu rezerw ludzkich.

Problem ten staje teraz przed nimi w tym ostrzejszej formie, że zwycięstwa rosyjskie zmuszają ich do rzucenia dużych rezerw także i na front wschodni. Na froncie tym ponieśli Niemcy największą swoją klęskę od czasów Stalingradu. Opowiadanie bowiem o tym, jakoby Niemcy wycofali się z Białejrusi w porządku, należy odnieść między bajki. Żadna armia, cofająca się w porządku, nie gubi po drodze w lasach dziesiętnastu generałów.

Ktoby miał zresztą jakieś wątpliwości, może posłuchać radia niemieckiego. Komunikaty niemieckie i rosyjskie inaczej, rzecz prosta, rozkładają akcenty, ale nie ma między tymi komunikatami zasadniczej sprzeczności. Z jednym wyjątkiem: Niemcy oświadczyli, że wycofali się z Kowla, niezauważeni przez nieprzyjaciela, dla skrócenia swoich linii obronnych, Rosjanie — że zajęli Kowel po ciężkich walkach. Epizod ten nie zmienia jednak obrazu całego frontu, ani też tego zasadniczego faktu, że Niemcy ponieśli w ciągu trzech ostatnich tygodni na froncie wschodnim jedną z największych klęsk, jakie ich spotykały w ciągu tej wojny.

Niemcy i na tym froncie się przeliczyli. Przerzucając swoje dywizje z frontu rosyjskiego na francuski, mogli liczyć na wiele okoliczności. Mogli więc liczyć na ewentualność, że Rosjanie w ogóle tego lata nie rozpoczną ofensywy. Może spodziewali się, że silny pas fortec: Witebsk, Orsza, Mohilew, Żłobin, zdola powstrzymać ataki sowieckie, skoro powstrzymał je już przy poprzedniej ofensywie. Może mieli nadzieję, że jeśli już będą zmuszeni do wycofania się, będą mogli wycofać się spokojnie, w porządku, ustępując terenu, ale ratując armię.

Szybkość postępów sowieckich przekreśliła te rachuby. Była to najefektowniejsza z dotychczasowych ofensyw rosyjskich. Trudno się bawić w prognozy, ale należy raczej spodziewać się, że ma się ona już ku końcowi. Rosjanie zbliżają się do linii silnych fortec, jak Kowno, Grodno, Ostrowiec, Brześć, których Niemcy na pewno będą bronili up to the hilt. Należy też pamiętać, że żadna ofensywa nie może bezkarnie odejść zbyt daleko od swoich baz wyjściowych. Rosjanie będą musieli teraz zorganizować komunikację na zajętych terenach, przesunąć swoje bazy, a wszystko to musi zająć pewien czas.

Postępy rosyjskie wysuwają znowu na czoło sprawę stosunków polsko-rosyjskich. W czasie wojny polityka jest funkcją sytuacji wojennej. Wśród huku salw, oznajmiających zwycięstwa sowieckie, ogłoszono nowy dekret: Związek Patriotów ma prawo nadawania obywatelstwa polskiego ludziom, służącym w polskich dywizjach Czerwonej Armii, i ich rodzinom. Związek Patriotów może zapewniać, że nie ma on zamiaru formowania rządu, bierze jednak na siebie funkcję o charakterze wybitnie państwowym. Rząd sowiecki wbrew przepisom prawa międzynarodowego uznał w listopadzie 1939 r. za obywateli sowieckich całą ludność Rzeczypospolitej na zachód od linii Mo-

low-Ribbentrop. Potem, po sierpniu 1941 r., uznano Polaków na terytorium sowieckim za obywateli polskich. Potem wahało znowu się odchyliło w odwrotną stronę: w styczniu 1943 r. wszystkim Polakom na terytorium ZSRR zaczęto nadawać obywatelstwo sowieckie. Teraz Związek Patriotów będzie miał prawa nie tylko przywracać obywatelstwo polskie zesłańcom, który znaleźli się na terytorium ZSRR już w trakcie obecnej wojny, ale także i ludziom, którzy przebywali w Rosji po r. 1917, i którzy w ciągu zgora ćwierci wieku pobytu ZSRR w środowisko sowieckie bez reszty weszli i z polską ideologią państwową nie mieli nigdy nic wspólnego.

Walka wyborcza w Stanach Zjednoczonych rozgorzała już na dobre. Jako kandydat Republikanów zwyciężył gubernator New Yorku Thomas Edmund Dewey, jeden z najmłodszych amerykańskich działaczy politycznych, energiczny administrator i wybitny prawnik, znany ze swej bezwzględnej walki z nowojorskimi gangsterami. Wobec wzrostu wpływów republikańskich ma on lepsze szanse niż w poprzedniej kampanii Willkie. Rozgrywka Roosevelt-Dewey musi na gorąco interesować. Od tego bowiem, kto przejdzie przy wyborach prezydenckich, będzie zależał bieg amerykańskiej polityki zagranicznej w ciągu najbliższych czterech lat, lat decydujących dla powojennej organizacji świata. Kampania wyborcza, rozegrała się pod hasłem stosunku do New Dealu, jeśli jednak idzie o wytyczne polityki zagranicznej, to i Roosevelt i Willkie byli tu zgodni. Dlatego potem mogliśmy być świadkami budującego widoku, jak przeciwnik prez. Roosevelta z kampanii wyborczej jeździł jako jego wysłannik po różnych stolicach świata.

Teraz jest inaczej. Sprawy zagraniczne są szeroko dyskutowane w kampanii wyborczej. Stanowisko Demokratów jest jasne: są oni za daleko idącą współpracą międzynarodową i za zorganizowaniem przy czynnym współudziale Stanów Zjednoczonych ogólnosiwiatowego systemu zbiorowego bezpieczeństwa.

Stanowisko Republikanów jest mniej jasne. Gubernator Dewey unika wyraźnego zdefiniowania swej polityki zagranicznej. Wśród najbliższych jego współpracowników jest i tak zawzięty izolacjonista, jak Herbert Hoover, i gorący zwolennik międzynarodowej współpracy, John Foster Dulles. Zato jego hasła wyborcze świadczą, że Dewey postanowił grać na nastrojach izolacjonistycznych wyborców. Zwłaszcza groźne brzmi tu hasło „Bring the boys home” — „sprowadzić żołnierzy z powrotem do domu”. Hasło to może mieć tylko jedno znaczenie: takie mianowicie, że po ukończeniu działań wojennych Stany Zjednoczone będą się starały ograniczyć swój udział w okupacji do minimum i będą się chciały jak najszybciej z Europy wycofać. Jest to hasło wysoce demagogiczne: dla każdego w Stanach, kto z niepokojem czyta dziś komunikaty wojenne, obawiając się o los swoich najbliższych, zmobilizowanych do wojna, wybór Dewey'a jest gwarancją, że ci najbliżsi w możliwie najszybszym czasie po zakończeniu działań wojennych znajdą się z powrotem na ziemi amerykańskiej.

Kilkakrotnie na tym miejscu podkreślaliśmy już, że uważalibyśmy za nieszczerze wszelkie pomysły podziału Europy na sfery wpływów. Trzeba przy tym wszystkim jednak z naciskiem podkre-

ślić, że silne garnizony amerykańskie i brytyjskie na kontynencie europejskim w ciągu pierwszych miesięcy — a może i lat — po zakończeniu działań wojennych są najpewniejszą gwarancją ładu i możliwie szybkiego powrotu do stanu normalnego.

Jako jeden z głównych motywów, który znaczący odłam Republikanów powstrzymuje od polityki ścisłej współpracy z Rosją, wymienia się tu traktowanie przez Rosjan sprawy polskiej. Prasa ich niejednokrotnie energicznie ujmuje się za nami. I za to winimy jej gorącą wdzięczność. Wnioski jednak, jakie ze swej oceny sytuacji politycznej wysuwa, są dla nas — i nie tylko dla nas — niebezpieczne i niepokojące. Jest to bowiem hasło jak najpóźniejszego wycofania się Stanów Zjednoczonych z Europy i pozostawienie jej własnemu losowi.

Rzecz prosta, platforma wyborcza, a polityka zagraniczna, którą się ma zamiar prowadzić naprawdę — to czasem dwie różne rzeczy. Łatwo wywiesić hasło szybkiej demobilizacji, trudniej je zrealizować. Trzeba bowiem wówczas wiedzieć, jak miliony zdemobilizowanych zatrudnić. Z drugiej zaś strony bardzo prawdopodobną jest też ewentualność, że prez. Roosevelt zostanie co prawda po raz czwarty wybrany na prezydenta, ale że w Kongresie zdobędą większość Republikanie, co — znowu — musiałoby go ogromnie krepować w posunięciach politycznych. Amerykańskie urny wyborcze mogą kryć w sobie jeszcze dużo niespodzianek. Od rezultatów zaś wyborów amerykańskich będzie w znacznej mierze zależało oblicze polityczne świata po wojnie.

W oświadczeniu, złożonym w Izbie Gmin w sprawie bomb latających, premier Churchill raz jeszcze zademonstrował tę swoją szczególną zdolność, której tajemnicą jest jego wyłączną własnością, zdolność mówienia przykrej prawdy w ten sposób, że staje się ona źródłem otuchy. W świecie, przeżartym przez propagandę, to znaczy — zakłamanym, każde „brutalne” mówienie prawdy musi działać oczyszczająco, już choćby przez to, że przywraca zaufanie. Po mowie premiera Churchilla jest rzeczą zupełnie jasną, że niemieckie latające bomby to broń bardzo przykra, wydatnie zatrująca życie Anglikom południowych rejonów wyspy. A równocześnie jest też rzeczą zupełnie jasną, że na przebieg działań wojennych te latające bomby nie mogą poważnie wpłynąć. Gdyby ich Niemcy użyli dwa-trzy lata wcześniej, kiedy armie ich jeszcze nie straciły zdolności ofensywnych, wtedy może latające bomby mogłyby poważnie zaważyć na wynikach walk. W tej chwili jednak sprawy wyglądają tak, że na to, aby mogły odegrać jakąś wybitniejszą rolę w działaniach wojennych, latające bomby będą musiały poczekać do następnej wojny.

Równocześnie we wspólnym komunikacie prez. Roosevelta i prem. Churchilla ogłoszono nekrolog innej groźnej broni ofensywnej Niemców: ich łodzi podwodnych. Wiadomości o tym, że na każdy zatopiony statek handlowy Sprzymierzonych przypada kilka zatopionych łodzi podwodnych oraz że w ciągu miesiąca inwazyjnego niemieckim łodziom podwodnym udało się zatopić w Kanale wszystkich jeden statek, znaczy, praktycznie rzecz biorąc tyle, co stwierdzenie, że niebezpieczeństwo łodzi podwodnych zostało wyeliminowane. Sprzymierzeni bezapelacyjnie panują na

morzu i w powietrzu. Niemcy nie są w stanie oprzeć się im na lądzie.

Faktyczne uznanie rządu gen. de Gaulle'a przez Stany Zjednoczone przyszło niespodziewanie — komentarze prasowe, poprzedzające tę wizytę, nakazywały raczej żywić sceptycyzm co do jej rezultatów — ale bardzo na czasie, bo w momencie, kiedy zwycięskie armie Sprzymierzonych rozpoczęły oczyszczanie terytorium francuskiego z wojsk nieprzyjacielskich. Zamyka ona przykry i gorszący rozdział w historii dyplomatycznej Sprzymierzonych. Gen. de Gaulle raz jeszcze okazał się graczem politycznym zręcznym, odważnym i — szczęśliwym. Rzecz prosta, autorytet swój zawdzięcza de Gaulle nie tylko swej zręczności. Na leży on do ludzi, którzy wiedzą, czego chcą, a co ważniejsze — umiały zestroić swoją politykę z aspiracjami politycznymi Francji Podziemnej. To mu daje siłę. W momencie gdy maquis wydatnie pomagają wojskom inwazyjnym — nie ma teraz komunikatu niemieckiego bez wzmianki o nich — uznanie rządu de Gaulle'a było potrzebą szczególnie nagłą. Domagał się go zresztą znaczny odłam prasy amerykańskiej. Ci, którym leży na sercu polityczne odrodzenie Europy, mogą się z niego tylko cieszyć. Albowiem nie ma i nie może być tego odrodzenia bez silnej Francji, która by odzyskała swoją dawną pozycję polityczną. Warto o tym pamiętać w dzień francuskiego święta narodowego, nawiązującego przecież do tych tradycji, kiedy Francja była natchnieniem świata.

ww.

Kronika polska

— Nakładem wydawnictwa Alberta Bonniersa w Sztokholmie ukazała się w języku szwedzkim książka Johna Waltera p. t. „Oster on Bug” („Na wschód od Bugu”). Książka ta zajmuje się ziemiami wschodnimi Rzeczypospolitej. Rozdział pierwszy zawiera opis geograficzny Kresów Wschodnich. Dwa następne rozdziały poświęcono dziejom tych ziem ze szczególnym uwzględnieniem ostatniego ćwierćwiecza; obszerne uwagi poświęcono sprawie t. zw. Linii Curzona i kolejom, jakie przechodziło Wilno i Ziemia Wileńska. Następnie scharakteryzowano oblicze narodowościowe Kresów i położenie mniejszości narodowych. Dwa następne rozdziały poświęcone są kolejno kulturalnemu i gospodarczemu dorobkowi Polski na ziemiach wschodnich, poczem autor charakteryzuje stosunki polsko-sowieckie w okresie od Traktatu Ryskiego do wybuchu obecnej wojny. Rozdział ostatni omawia rozwój wypadków na Kresach od chwili wybuchu wojny. Książkę, zaopatrzoną w mapę, zamyka bibliografia przedmiotów.

— „Polish Information Center” w Nowym Jorku wydało pięknie i bogato ilustrowaną broszurę informacyjną p. t. „The Truth About Poland”. W tym samym nakładzie, w serii „Underground Poland Speaks” ukazała się poprzedzona przedmową Florence J. Harriman broszura p. t. „Oświęcim. Camp of Death (Underground Report)”.

— W serii broszur, wydanych przez „Free Europe” ukazała się Kazimierza Smogorzewskiego p. t. „About the Curzon Line and Other Lines”. Broszura obejmuje kilka artykułów, które ukazały się uprzednio w dwutygodniku „Free Europe”. — Delegatura Polskiego Czerwonego Krzyża na Środkowy Wschód wydała w Jerozolimie książkę dra J. Mackiewicz p. t. „Neuromalaria (Układ nerwowy a zimnica)”.

— W numerze z maja b. r. londyńskiego miesięcznika „The Nineteenth Century and After” Stanisław Baliński ogłosił w angielskim przekładzie swoje opowiadanie „Przestrzeń życiowa”, którego oryginał wydrukowany został w nrze 3 „W Drodze” z 1 maja ub. r.

— Ukazał się numer 3-4 (za marzec kwiecień) londyńskiego miesięcznika „Nowa Polska”. Przynosi on prozę Józefa Wittlina (szkic o Kościuszcze), Ksawerego Pruszyńskiego (ciąg dalszy studium o Wielopolskim), Karola Estreichera (piękne wspomnienie z uniwersyteckiego Krakowa), Teodora Parnickiego (fragment ósmego rozdziału I tomu powieści „Srebrne Orły”, która tylko co ukazała się nakładem wydawnictwa „W Drodze” w Jerozolimie), Doroty Falskiej (o procesie Pucheu), Zygmunta Haupta, Florianą Sokolową (Kronika polityczna), Eugeniusza Cekałskiego (o filmie) oraz Mieczysława Pruszyńskiego (o Wiliamie Mulocku, stuletnim kanclerzu uniwersytetu w Toronto). Poezję w numerze reprezentują Maria Pawlikowska, Marian Czuchnowski (trzy z jego ogłoszonych tu wierszy — „On”, „Droga mleczna” i „Hamsin” — drukowane były w nrze 14 „W Drodze” z dn. 16 października ub. r.) i Bogumił Andrzejewski.

— W numerze 20 (72) nowojorskiego „Tygodnika Polskiego” ukazał się w przekładzie angielskim „Chleb” Hermińi Naglerowej, drukowany w nrze 1 „W Drodze” z dn. 1 kwietnia ub. r.

— Nakładem Barnarda and Westwooda w Londynie ukazała się książka prof. Henryka Tenenbauma „Central and Eastern Europe in World Economy”.

— W Nowym Jorku ukazała się wydana pod red. p. Marion Moore — Coleman przez Klub Polski przy Columbia University antologia literacka „The Polish Land”. Przynosi ona wybór fragmentów poetyckich i prozaicznych, poświęconych poszczególnym ziemiom i miastom Polski oraz krajoznawczy polskiemu od Kochanowskiego i Klonowicza aż po Broniewskiego i Wierzyńskiego. Pani Marion Moore — Coleman jest żoną profesora polonistyki w Columbia University. Razem z mężem wydała ona w przekładzie angielskim „Marie” Malczewskiego, „Marie Stuart” Słowackiego i „Śluby pańskie” Fredry.

Wydawca: Ignacy Pokrywa
Redaktor: St. A. Balicki
Adres Redakcji: Polish Information Centre
Jerusalem, Bezalel Street, House Valero
Drukarnia: The Jerusalem Press Ltd.

Z TEK I ZYGMUNTA KOWALEWSKIEGO



W JEROZOLIMSKIM ZAULKU